3
MYŚL NARODOWA

DWUTYGODNIK POŚWIĘCONY KULTURZE TWÓRCZOŚCI POLSKIEJ

ROK VI. Nr 39 WARSZAWA, 15 LISTOPADA 1926 R. CENA NUMERU 1 zł.

WSCHÓD I ZACHÓD W POLSCE

I

MIĘDZY losami dziejowemi zachodu a wschodu Europy istnieje jedna przedewszystkiem uderzająca różnica.

Państwa, które powstawały od początku wieków średnich na zachodzie Europy, przechodziły okresy najazdów, zaburzeń, wojen domowych, głębokich przemian i nagłych przewrotów wewnętrznych; pomimo wszakże tego wszystkiego zachowały ciągłość swego bytu, w znacznej mierze nawet niezmienność swych granic i dziś, przy wszelkich trudnościach wewnętrznych, gospodarczych, społecznych i politycznych, mają charakter ustrojów wybitnie trwałych. Natomiast państwa, zjawiające się później na widowni dziejowej w Europie wschodniej, okazują się ustrojami o wiele mniej trwałemi: tu granice nieustannie się zmieniają, całe wielkie państwa, jak Czechy, Węgry, Polska, znikają z mapy. W ostatnich latach widzieliśmy rozpadnięcie się Austrji i katastrofę takiego kolosu, jak Rosja.

Różnica ta ma swoje głębokie przyczyny. Ustroje państwowe Europy zachodniej po za władzą zwierzchnią i siłą zbrojną, na której się ona opierała, posiadały budowę wewnętrzną, rozwinięty i głęboko w życie sięgający system instytucyj, praw i przywilejów; w tych instytucjach kształciły się pojęcia i instynkty społeczne ludności, która coraz silniej się z niemi zrastała. Skutkiem tego żadne burze, przechodzące ponad krajem nie były zdolne zmienić tych instytucyj: społeczeństwo zachowywało swą organizację polityczną wtedy, gdy władza państwowa była zachwiana lub chwilowo znikała. Nawet gdy kraj dostawał się pod władzę obcych najeźdźców, jego instytucje, jego organizacja asymilowała ich: roztapiali się oni w nim, nie zdoławszy zniszczyć podstaw jego ustroju. Natomiast państwa powstające na wschodzie Europy miały budowę wewnętrzną o wiele mniej rozwiniętą, instytucje, które wprowadzały u siebie, wzorując się na Europie zachodniej, trafiały na grunt pierwotny, nie przygotowany, pojęcia i instynkty ludności daleko od nich odbiegały, skutkiem czego instytucje te były słabe i często wyrodniały. To też pierwsza lepsza burza dziejowa zmiatała łatwo nietylko władzę zwierzchnią państwa, ale w znacznej mierze i jego budowę wewnętrzną. Z obalonego państwa pozostawało zamało, ażeby mogło ono rychło i samorzutnie podnieść się nanowo.

Prawa i instytucje, na których się budowa wewnątrzna państw europejskich opierała, miały swe źródło w starożytnym Rzymie.

Olbrzymia rola dziejowa Rzymu tkwi przedewszystkiem w tem, że stworzył on prawo, prawo nie dla państwa tylko, ale i dla jednostki, czem położył podstawy pod wychowanie niezależnej jednostki ludzkiej. W systemie praw i przywilejów, służących jednostkom i grupom społecznym, organizowało się społeczeństwo, kształtował się samodzielny naród, organiczna całość, opierająca się siłom, niszczącym państwo.

Imperjum rzymskie, rozpostarłszy się na znaczną część Europy, zorganizowało ją na podstawie swego prawa, w tem prawie wychowywało podległe sobie ludy i położyło w swych prowincjach podwaliny, które przetrwały upadek Rzymu i na których w następstwie wznosiły swój ustrój nowe państwa. Barbarzyńcy, którzy te państwa tworzyli, dlatego stworzyli dzieła trwałe, że zastali w opanowanych krajach spadek po Rzymie, jego instytucje, czyli gotowe, trwałe podstawy budowy wewnętrznej państwa.

Rzym wszakże niecałkiem upadł. W dobie upadku imperjum zorganizował się w Rzymie Kościół zachodni, Kościół Rzymski, przepojony duchem Rzymu, jego cywilizacji, opierający swą organizację na ścisłem prawie kościelnem i na surowej dyscyplinie prawnej. Poszedł on na podboje duchowe, rozpostarł swą organizację na całą zachodnią i środkową Europę, szerząc nietylko swą wiarę, ale cywilizację rzymską i rzymskie zasady prawne daleko po za granice, do których sięgało niegdyś imperjum rzymskie. Dzięki Kościołowi i jedynie dzięki niemu Rzym, po upadku imperjum, prowadził dalej swój podbój cywilizacyjny. Rospostarła się szeroko w wiekach średnich sfera cywilizacji rzymskiej, zachodnio-europejskiej, sięgająca tak daleko, jak daleko sięgały granice organizacji Kościoła Rzymskiego.

Już w wiekach średnich rzucono się w Europie do studjów nad prawem rzymskiem, w świadomem dążeniu do rozwijania ustroju prawnego państw na jego zasadach.

Wzniesione na podwalinach rzymskich w połączeniu z pierwiastkami prawa rodzimego ludów instytucje prawne oraz rozwijające się i utrwalające w ich ramach instynkty ludności, jej poczucie prawa i przywiązanie do swego prawa, rozwijały i wzmacniały indywidualność ludzką, a jednocześnie organizowały naród, przez co wprowadzały do europejskich ustrojów państwowych nieznany gdzieindziej pierwiastek trwałości. Gdy w świecie wschodnim burze dziejowe zmiatały bezpowrotnie potężne państwa, po których prawie nie pozostawało śladów, w Europie rzymskiej istniało coś, czego żadna burza zmieść nie była zdolna, istniała oparta na zrosłych z instynktami ludności instytucjach prawnych budowa wewnętrzna państwa, istniała wreszcie opierająca się wszelkim przewrotom organizacja Kościoła.

Cywilizacja wszakże rzymska nie panowała wszędzie z jednakową siłą. Najgłębsze zapuściła korzenie w krajach, które były prowincjami dawnego imperjum rzymskiego, w innych była tem silniejsza, im dawniej utrwaliła się w nich organizacja rzymskiego Kościoła, im wreszcie dzieje ich mniej obfitowały w katastrofy, przerywające ciągłość pracy i postępu cywilizacyjnego.

Stąd ta uderzająca różnica losów dziejowych między państwami zachodniej a wschodniej Europy stąd ta trwałość ustrojów politycznych na zachodzie i ich chwiejność na wschodzie.

II

Państwo Mieszka i Chrobrego było państwem potężnem, ale nie było to państwo zbudowane na podstawach europejskich, rzymskich. Rzym zaczyna zaledwie przenikać do niego przez organizację i pracę Kościoła. Potęga Piastów wyrosła tak, jak wyrastały potęgi wschodnie, — dzięki genjuszowi władców i warunkom sprzyjającym zorganizowaniu przez nich siły bojowej. To też w chwilach gdy nie stało wielkich wodzów państwa, gdy warunki zewnętrzne były mniej pomyślne, potęga ta upadała. Dźwigali ją później dwaj niepospolici książęta tego wielkiego rodu, dwaj następni Bolesławowie, wreszcie rozsypała się na drobne księstewka.

W okresie wszakże podziałów już nietylko wspólność etniczna i nietylko dom Piastów stanowiły o jedności Polski: już organizacja Kościoła w Polsce była tak rozwinięta, że stał się on głównym węzłem jej jedności i głównym wyrazicielem dążeń do państwowego zjednoczenia. Rzym już dał krajowi silną podstawę organizacyjną.

W okresie podziałów przerabianie się Polski na kraj zachodni, na kraj cywilizacji rzymskiej nie ustawało: szła szybkiem krokiem praca Kościoła, udoskonalała się kształtowana na wzorach europejskich administracja książąt, drużyny książęce upodobniały się stopniowo rycerstwu zachodniemu, ambicje panów wzorowały się na Europie feudalnej, zdobywali sobie przywileje, a z niemi coraz większy stopień niezależności, powstawały miasta na prawie magdeburskiem.

Zjednoczone przez Łokietka i Kazimierza Wielkiego państwo ma już w swym ustroju wcale silne pierwiastki zachodnie. Posiada ono już nie zwyczajowe jedynie, ale skodyfikowane prawo. Już obok władzy państwowej istnieje organizacja społeczeństwa, w znacznej mierze na instytucjach prawnych oparta, zdolna wziąć w ręce losy państwa, co się uwydatnia po śmierci ostatniego Piasta w układach z Ludwikiem węgierskim i w polityce panów małopolskich, prowadzącej do unji z Litwą. To już Polska bardzo odległa od pierwotnego państwa Bolkowego, znacznie bliższą Zachodowi, bez porównania silniejsza w swej wewnętrznej budowie, choć ta kryła w sobie zarodki przyszłych niedomagań ustrojowych. To wszakże trzeba wiedzieć, że gdyby społeczeństwo po śmierci Kazimierza Wielkiego było społeczeństwem z czasu pierwszych historycznych Piastów, Polska taka nie znalazłaby w sobie dość siły do utrwalenia swego bytu państwowego, a tem mniej do wydania polityki, która uczyniła ją jednem z potężniejszych państw w Europie.

Niemniej szybko posuwa się europeizacja, można powiedzieć—romanizacja Polski za Jagiellonów: miasta, te warsztaty cywilizacji, zorganizowane na podstawach zachodnich, jakkolwiek zaczynające już słabnąć gospodarczo, żyją pełnem życiem europejskiem, wytwarzają typ człowieka wydyscyplinowanego prawnie i umysłowo po europejsku; szlachta kształcąca się na uniwersytetach włoskich, zespala się coraz bardziej umysłowo z życiem Zachodu i, jakkolwiek jest to jeszcze umysłowość młodzieńcza, żyjąca przeważnie naśladownictwem, jakkolwiek nie brak jeszcze przejawów barbarzyńskiej naiwności i powierzchowności, to już widoczne jest, że idzie szybki postęp w kierunku europejskim, szybkie dojrzewanie w Polsce typu człowieka zachodniego. W ramach organizacji Kościoła i wzorowanych na zachodnich instytucyj państwowych społeczeństwo kształtuje swe pojęcia, swe instynkty w duchu cywilizacji rzymskiej. Wiele pozostaje jeszcze, przedewszystkiem u dołu, pierwotnego, rodzimego barbarzyństwa, to barbarzyństwo jest wzmacniane przez intensywną kolonizację kraju jeńcami wojennymi, ale duch rzymskiego Zachodu robi szybkie podboje.

To przerabianie się narodu na zachodnio-europejski odbywa się szybko, pomimo, że Polska w okresie jagiellońskim znajduje się w unji z Litwą, nie należącą ani z ustroju, ani z ducha swego do Europy, nietkniętą wpływami rzymskiemi, w swej połowie litewskiej będącą krajem pierwotnym, barbarzyńskim, w rodzaju tego, czem była Polska za pierwszych historycznych Piastów, w ruskiej zaś — posiadającym zaczątki cywilizacji bizantyjskiej.

Za ostatniego Jagiellona ten rozległy kraj wschodni łączy się z Polską w jedno państwo. Potęga Polski się zdwaja, ale jej charakter zachodni staje się nagle o połowę słabszym. Polska wprawdzie niesie skutecznie swą cywilizację zachodnią na te wschodnie obszary, ale i Wschód, stanowiący wewnątrz państwa ogromną siłę, oddziaływa ze swej strony, zwłaszcza w sferach górnych, w tem, co Rzecząpospolitą rządzi, co ma ogromny wpływ na umysłowość — upadek tej umysłowości po Unji Lubelskiej jest uderzający — i na instytucje polityczne Rzeczypospolitej.

Pod dachem państwowym coraz słabszym, coraz gorzej ochraniającym byt państwa, instytucje prawne, praca Kościoła, czynniki gospodarcze robią swoje, społeczeństwo, niezależnie od rozkładu państwa, odbywa ewolucję w kierunku zachodnim: jego instynkty społeczne stają się coraz bardziej europejskiemi, najsilniej na zachodzie państwa, coraz słabiej ku wschodowi, aż do Dzikich Pól, gdzie nieustanna wojna hamuje wszelki postęp cywilizacyjny.

Ciężki, niedoceniony w swych rozmiarach cios cywilizacji polskiej zadaje okres wojen szwedzkich, z którego wychodzi ona bodaj o dwa stulecia cofnięta w swym rozwoju. Żadne może inne zdarzenie w naszych dziejach nie było dla nas taką klęską. Cios ten wzmacnia zalanie po wojnach szwedzkich Polski przez Żydów, żywioł wybitnie wschodni, najtrudniej poddający się wpływom cywilizacji rzymskiej i najbardziej rozkładowo działający na jej instytucje. Od tego czasu właściwie państwo już żyje w przedśmiertnej agonji, a społeczeństwo w takiem odosobnieniu od

Europy, w jakiem się nie znajdowało od początku swych znanych dziejów.

W okresie rozbiorów związki z Zachodem znów nawiązują się silniej, niestety, w znacznej mierze na niezdrowym gruncie tajnych stowarzyszeń, z wynikiem, mającym niemałe znaczenie cywilizacyjne, ale politycznie fatalnym, przyśpieszającym ostateczne zniszczenie państwa.

III

Po rozbiorach i po okresie wojen napoleońskich dwie dzielnice Polski stają się częściami składowemi państw zachodnich. Ustrój prawny i polityczny tych państw był obcy duchowi polskiemu, miał swoje niezdrowe strony, zwłaszcza w Austrji, będącej przeżytkiem dawnych czasów, niezdolnym do normalnego życia w nowych; niemniej przeto był to ustrój, zbudowany na podstawach europejskich. W ramach tego ustroju ludność polska podlegała prześladowaniu narodowemu i wystawiona była na poważne niebezpieczeństwa, ale jednoczeeśnie, zwłaszcza w ustroju pruskim, pogłębiała w sobie i rozwijała pojęcia prawne i instynkty praworządne, odbywała postęp w duchu zachodnim.

Ten sam postęp, tylko w duchu bardziej rodzimym, polskim, a równocześnie bardziej łacińskim, odbywał się w tym okresie w Królestwie, zorganizowanem po Kongresie Wiedeńskim w nowoczesne państewko polskie, którego fundamenty prawno-polityczne położone zostały przez Napoleona w Księstwie Warszawskiem. Związek z Rosją wprowadzał w życie kraju pierwiastek niepewności, chwiejności prawa, jego wszakże działanie rozkładowe nie sięgało zbyt głęboko w życie ludności.

Nawet ziemie, położone na wschód od Królestwa, jakkolwiek wcielone do państwa rosyjskiego, zachowały zrazu swe odrębne instytucje, skutkiem czego i tam przez pewien czas jeszcze posuwał się naprzód proces europeizacji. Okres uniwersytetu wileńskiego i liceum krzemienieckiego — to okres intensywnego postępu cywilizacji zachodniej na Litwie i ziemiach ruskich.

Karta się naprawdę odwraca dopiero po r. 1831. Od tego czasu ziemie te, wtłoczone w instytucje rosyjskie, wschodnie, stają się widownią walki państwa rosyjskiego przeciw wszystkiemu, co na nich zaszczepiła Polska, a więc przeciw wszelkim pierwiastkom cywilizacji zachodniej. Jednocześnie Królestwo traci swój ustrój polityczny, a z nim prawno-polityczną podstawę swego bytu; na jej miejsce wkracza samowola władz państwowych. Zachowuje ono wszakże szereg instytucyj polskich: pod zwierzchnią władzą rosyjską Polacy administrują krajem, sądzą w sądach, wychowują młodzież w szkołach — kraj nie zatraca swej fizjognomji zachodniej.

Lata 1863 — 4 przynoszą na Litwie okres murawjewowski z zaszczepionemi przezeń dzikiemi już wprost metodami tępienia polskości, katolicyzmu i cywilizacji zachodniej, jak mówili panslawiści rosyjscy— latynizmu, w Królestwie zaś kongresowem zruszczenie szkół, sądów i administracji. Od tego już czasu na całym obszarze ziem zaboru rosyjskiego Zachód zaczyna się cofać przed Wschodem: Wschód stopniowo rozkłada instytucje w kraju, pojęcia i instynkty w duszach ludzkich.

Z początku działa tylko przymus państwowy, za nim idzie dobrowolne uleganie wpływowi kultury wschodniej, rosyjskiej. Największe, ma się rozumieć, spustoszenie odbywa się na ziemiach wschodnich dawnej Rzeczypospospolitej. Litwa w ostatniej ćwierci zeszłego stulecia, a Litwa z czasów uniwersytetu wileńskiego — to dwa różne, dalekie kraje. Największy bodaj przewrót zaszedł w warstwie oświeconej. Młodzież polska z Litwy odbywała studja wyższe prawie wyłącznie w Rosji, kształciła się na literaturze rosyjskiej, przejmowała się ideologją ruchów rosyjskich, żywsze pośród niej temperamenty wstępowały w szeregi rewolucji rosyjskiej. Pod temi wpływami zanikało w jej duszach to, co cywilizacja zachodnia od wieków w nich szczepiła—poczucie prawa i respekt dla prawa, a wyrastało uznanie dla gwałtu i wyidealizowanie gwałtu.

W mej pracy organizacyjno-politycznej wiele miałem do czynienia z rodakami naszymi z Litwy: spotykałem wielu ludzi zacnych, kochanych, wiele przywiązania do Polski, a zwłaszcza nienawiści do Moskali, wiele chęci do pracy kulturalnej polskiej i niemałej umiejętności jej organizowania. Gdyśmy wszakże przechodzili na grunt polityczny, niepodobna było nawzajem się zrozumieć. Uderzała przedewszystkiem jakaś dziecięca naiwność, całkowita niezdolność zrozumienia dzisiejszych czasów, współczesnej Europy; następnie spotykało się prawie wyłącznie tylko dwa typy ludzi: jedni, bojący się własnego cienia, uciekający od wszystkiego, co zatrącało o politykę lub uznający tylko politykę zabiegów o łaskę rządu, inni—lekceważący w polityce wszystko, prócz rewolweru i dynamitu. Często się słyszało takie oświadczenia: „Gdy trzeba będzie strzelać do Moskali, to mię zawołajcie — tymczasem nic ze mnie nie będziecie mieli“...

Typ człowieka zachodniego w swych pojęciach politycznych stał się na Litwie rzadkim wyjątkiem.

I w Królestwie w ostatnich dwóch dziesięcioleciach zeszłego wieku wpływ Wschodu zaczyna się dawać czuć coraz silniej. Zaczyna on przenikać przez młodzież, odbywającą wyższe studja w Rosji, którą pociąga ruch rewolucyjny rosyjski. Ruch socjalistyczny w swoich początkach czerpie natchnienia głównie z Rosji. Następnie szkoła rosyjska w kraju zaczyna robić swoje.

Należę do pokolenia, które musiało ciężką już walkę toczyć w szkole o swoją duszę polską, o swój zachodni sposób myślenia. Żywe poczucie tragizmu tej walki pozostało mi na długie lata. Pamiętam, jakem się w swoim czasie ucieszył, gdy Żeromski w początkach swej twórczości powiedział mi, że zabiera się do pisania książki, w której chce odtworzyć walkę młodzieży polskiej o swą duszę przeciw szkole rosyjskiej. I pamiętam, jaki mię bolesny zawód spotkał gdy się ukazały „Syzyfowe prace“: w autorze ich już widoczny był wpływ Wschodu, który nadłamał jego Polską duszę.

Część moich kolegów na uniwersytecie warszawskim już miała pogardę dla umysłowości polskiej, czytała tylko literaturę rosyjską, śpiewała na zebraniach studenckich pieśni rosyjskie, drwiła sobie z dążeń polskich, wyśmiewała marzenie o niepodległości. Ideałem człowieka dla niej był rewolucjonista rosyjski.

Gdy się zaczęło odrodzenie ruchu narodowego wśród młodzieży, a z niem silna reakcja przeciw wpływom rosyjskim, i socjalizm u nas zaczął się odcinać od rewolucji rosyjskiej: zaczął on nawiązywać węzły z socjalizmem niemieckim, a jeden jego odłam zabarwił swój program po polsku, łącząc rewolucję społeczną z odzyskaniem niepodległości. Ale właśnie w tym odłamie bodaj więcej nawet, niż w innych, pod wpływem młodzieży z kresów wschodnich Polski uwydatnił się typ Polaka, który zatracił w znacznej

mierze zachodnie pojęcia i instynkty polityczne, typ człowieka wschodniego. I plany były nie mające nic wspólnego z rzeczywistością europejską, i metody działania rosyjskie. Wytworzyło się w kraju jakieś wielkie nieporozumienie: napady na pociągi, rozbijanie kas, mordowanie ludzi przy tych operacjach, dla jednych było bohaterstwem rewolucyjnem, w oczach zaś innych były to akty bandytyzmu. To nieporozumienie nie było niczem innem, jak ścieraniem się na gruncie polskim, w samem łonie społeczeństwa polskiego Wschodu z Zachodem.

Grunt polski, na którym przez wieki Zachód czynił ciągłe zdobycze, posuwał się nieustannie ku wschodowi, pod wpływem panowania rosyjskiego stał się widownią zdobyczy Wschodu: powracająca fala wschodnia zaczęła się posuwać ku zachodowi. Społeczeństwo polskie we wschodniej części kraju, weszło w dwudzieste stulecie, jako o wiele mniej zachodnie, niż było w poprzednich pokoleniach. Polska stała się o wiele mniej jednolita w swej psychice, w swych pojęciach moralnych i prawnych, w swej umysłowości politycznej.

Widoczne było, że tylko praca pokoleń w sprzyjających warunkach może przywrócić krajowi jedność cywilizacyjną, może uczynić Polskę krajem całkowicie zachodnim, a tem samem zapewnić jej mocne podstawy samoistnego bytu.

IV

W silnem dążeniu narodu podczas wojny światowej do odzyskania wszystkich ziem zachodnich Polski, były nietylko aspiracje narodowe, nietylko plany państwowe, o których wiele u nas mówiono, które zresztą ja sam jasno, zdaje się, wyłożyłem w swej „Polityce polskiej“. Było także poczucie potrzeby zrobienia Polski krajem jak najbardziej zachodnim z silną przewagą ludności, mającej pojęcia i instynkty zachodnie, przedewszystkiem poczucie prawa i przywiązanie do praworządności—w zrozumieniu, że tylko na takich pojęciach i na takich instynktach ludności można zbudować silne, trwałe państwo, że wszystkie państwa na granicach między światem zachodnim a wschodnim, których ludność tej dyscypliny zachodniej nie posiada, okazały się i okazują bardzo chwiejnemi w swych podstawach.

Wynik naszych usiłowań był względnie pomyślny: Polska w swych dzisiejszych granicach jest krajem z ogromną przewagą ludności typu zachodniego i ma wszelkie widoki stania się państwem zachodniem w całym swym ustroju, w całem życiu, opartem na ścisłych i surowo przestrzeganych podstawach prawnych. Do tego wszakże może ona dojść tylko dużym, świadomym wysiłkiem żywiołów, które przedstawiają w niej cywilizację zachodnią.

Nie trzeba zapominać, że nawet na ziemiach naszych, leżących blizko zachodniej granicy państwa, mamy, zwłaszcza u dołu, wiele pierwotnego, rodzimego barbarzyństwa, pochodzącego stąd, że jako młodsi cywilizacyjnie od narodów zachodnich, mniej zostaliśmy przez cywilizację rzymską przerobieni, mniej wydyscyplinowani. Nie przedstawiałoby to poważnego niebezpieczeństwa, gdyby w kraju szła jednolita i wytężona praca cywilizacyjna, przy zorganizowaniu państwa na silnych podstawach prawnych.

Istnienie wszakże w Polsce licznych w warstwie oświeconej żywiołów, mniej lub więcej silnie dotkniętych wpływami Wschodu, ze zdezorganizowanemi pojęciami prawnemi, a nawet etycznemi, przytem, wobec rozszerzenia się niereligijności, nie ulegających wpływowi tak potężnego wychowawcy w duchu zachodnim, jakim jest Kościół Rzymski — wydobywa to rodzime barbarzyństwo na powierzchnię i przeciwstawia je cywilizacji.

Tem odwoływaniem się do instynktów pierwotnych z jednej strony, z drugiej zaś—samym swym charakterem, który gwałt przeciwstawia prawu, Wschód pozyskuje dużą siłę przeciw znacznie przeważającemu w życiu polskiem Zachodowi.

Nasze życie polityczne od chwili odbudowania państwa jest ciągłem zmaganiem się wrodzonych już, utrwalonych przez wieki zachodnich, europejskich skłonności i dażeń narodu z duchem wschodnim, duchem bezprawia i gwału, oraz z wydobywanem przezeń na widownię polityczną rodzimem barbarzyństwem.

Od początku istnienia odbudowanego państwa na najwyższych stanowiskach państwowych miewaliśmy ludzi, posiadających nawet czasami duże zalety i niemałe zasługi, ale z tak osłabionemi pojęciami europejskiemi, z tak zachwianem poczuciem prawa, że wywoływali zdumienie nietylko na zachodzie, ale nawet u przeciętnych obywateli polskich. Ściśle z tem wiąże się fakt, że rząd polski zdążył już zdobyć sobie na Zachodzie reputację najmniej skłonnego do dotrzymywania zobowiązań i przyrzeczeń.

Dziś państwo polskie weszło w okres najsilniejszego wezbrania fali wschodniej. Podstawy prawne jego istnienia zostały silnie wstrząśniete w zamachu majowym. I w państwach zachodnich bywają przewroty, ale po nich następuje jakiś wyraźny, ustalony porządek prawny. Tu przeciwnie, mamy poczucie, że wiele się zachwiało, a nic nie zostało wyraźnie, jasno postawione.

W kołach, które dokonały przewrotu i będących jego rzecznikami, czuje się wahanie między dwiema dążnościami, a raczej skłonnościami: jedna ku skrajnemu radykalizmowi społecznemu, nawet komunizmowi, druga ku monarchizmowi, pojmowanemu raczej, jako władza absolutna. Obie te skłonności uwydatniają się częstwo w jednym organie prasy, nawet w tych samych ludziach.

To już wyraźny Wschód, to całkowita Rosja: albo caryzm, albo bolszewizm. Pomiędzy jednem a drugiem bądź pustka, bądź łatwo topniejąca słabizna. Gdyby tak miało być istotnie w Polsce, toby należało oczekiwać nieuchronnej katastrofy państwa. Bo w dzisiejszej Europie niema trwałego miejsca, a właściwie nigdy go nie było, ani na ustrój bolszewicki, ani na monarchję we wschodnim stylu. W Europie, jak już powiedzieliśmy, warunkiem trwałości państwa jest oparcie go na mocnych podstawach prawnych. To już jest dobroczynna w pojęciach jednych ludzi, przeklęta w pojęciach innych spuścizna Rzymu, że na gruncie, do którego wpływ jego dotarł, gdy prawo nie panuje, nic trwale panować nie jest zdolne.

To też siłę wewnętrzną państwa polskiego, jego zwartość i trwałość może zbudować tylko nawrót do zachodnich podstaw bytu. Tego nawrotu wszakże może dokonać tylko sam naród, wzięty w głębszem tego słowa znaczeniu, to wszystko, co reprezentuje w Polsce silną świadomość narodową, przywiązanie do tradycyj cywilizacyjnych kraju, poczucie prawa i przywiązanie do praworządności, dyscyplinę religijną i moralną. Tylko ta siła może wydać twórczość dziejową Polski i zapewnić jej trwałe podstawy bytu.

Wszystko, co się jej przeciwstawia, prowadzić może jedynie do zniszczenia pomyślnie odzyskanego państwa.

ROMAN DMOWSKI

ZŁOTA MIĘDZYNARODÓWKA

II

SKRĘĆMY z wielkich bulwarów w Paryżu w spokojną stosunkowo ulicę Vivienne. Gwar bulwarów cichnie stopniowo, lecz niebawem w ucho zaczyna wpadać nowy jakiś dźwięk, z początku szmer, wzmagający się szybko i wreszcie nabierający wyraźnego podobieństwa do hałasu, czynionego przez niespokojny, podniecony tłum ludzki. Czyżby w pobliżu przechodził jakjś pochód demonstracyjny, a może się nawet biją? Tak, to najwyraźniej wrzawa walki ulicznej. Przyśpieszmy kroku i dojdźmy prędzej do rogu, a znajdziemy rowiązanie zagadki. Pośrodku sporego placu wznosi się okazały gmach z klasyczną kolumnadą i monumentalnemi schodami dookoła. Pod tą kolumnadą, na schodach i na ulicy kłębi się tłum ludzki i on to wydaje już z blizka teraz słyszany ogłuszający wprost wrzask. Bijatyki nie widać, lecz poszczególni ludzie i całe grupy ich w tłumie doskakują do siebie z groźnemi gestami, a łatwo spostrzec, że ludzie ci są istotnie niesłychanie podnieceni: kapelusze na tyłach głowy, pięści wzniesione, oczy nieprzytomnie wybałuszone, postacie zaplute jakieś i potargane. Doskakują do siebie z wrzaskiem, wydaje się, że za chwilę posypią się razy. Wrzeszczą coś, czego nikt na świecie prócz nich samych nie jest w stanie zrozumieć, wrzeszczą przytem tak, że żyły im nabrzmiały na szyjach, a wrzawa ochrypłych głosów panuje nad całym placem i sięga na ćwierć kilometra w przyległe ulice. Przechodzień może osłupieć, tem więcej, że nie widzi przyczyny tego podniecenia, lecz przyjrzawszy się uważniej typom, które mimo europejskiego stroju noszą niezatarte znamiona wschodu, zorjentuje się łatwo i już bez trwogi o losy tych dziwnych zapaśników przypatrywać się będzie ich walce. Nie zrobią sobie krzywdy. To giełda.

Wewnątrz gmachu urzędują większe matadory. Hałas tam mniejszy, lecz raz po raz zrywa się i tam harmider, krzyk równie niezrozumiały, dźwięczy w nim tylko raz nuta triumfu, to znowu rozpaczy.

W Ameryce wszystko musi być większe, więc i giełda rozlewa się tam szerzej po miastach. Czasem na zacisznym jakimś placyku można oglądać zabawne widowisko: na placu tłum rozkołysany, wrzeszczący, a w otwartych oknach domów stoją ludzie - semafory; jedną ręką trzymają słuchawkę telefonu przy uchu, drugą dają jakieś znaki ludziom na dole i za każdym takim znakiem wrzask się wzmaga. To filja giełdy, otrzymująca przez telefon wskazówki i wrzeszcząca w zgodnym rytmie z macierzą.

Tak pracuje giełda, siedlisko spekulacji i najprzedniejsze narzędzie „złotej międzynarodówki" do wywierania nacisku na rządy i narody.

Kto choć raz w życiu przyjrzał się zblizka obłąkanym oczom i usłyszał potępieńczy wrzask giełdziarzy, temu musi się nasunąć pytanie, jakim sposobem w takim domu warjatów może dziać się coś rozsądnego i pożytecznego. Przed wojną sprawy giełdowe mało obchodziły szerszą opinję. Drobne wahania w kursach walut nikogo nie wzruszały, gdy nikt nie odczuwał ich skutków, dochodzące zaś od czasu do czasu wiadomości o krachach giełdowych były traktowane jako wypadki, obchodzące raczej spekulantów. Czasy powojenne zmieniły ten stosunek do giełdy i jej spraw. Orgje spekulacyj walutowych stały się widoczną dla wszystkich klęską społeczną, a nacisk, jaki matadorzy finansowi potrafią wywierać na rządy, unaocznił się w tych czasach zachwianej równowagi ekonomicznej bardzo jaskrawo. W okresie powojennym wyraźniej, niż kiedykolwiek, uwypuklił się cały złowrogi charakter giełdy, jako ośrodka działającego psychologją tłumu i emanującego nastroje, z któremi niezmiernie trudno jest walczyć.

Milcząco uznawało się dotychczas, że mimo widocznych złych stron, giełda dzisiejsza jest w istniejącym ustroju ekonomicznym koniecznością. Jednakże gdy wybuchła wojna i stawka poszła o życie lub śmierć, to większość państw ową „konieczność" bez ceremonji zamknęło; to samo czyniono niejednokrotnie w wielu państwach po wojnie, gdy zachodziła obawa, że owa pożyteczna instytucja zrujnuje obywateli do cna. I cóż się stało? Nic. Może tam pewna liczba spekulantów się powiesiła (szkoda, że nie wszyscy), pozatem życie szło swoim torem, jeno znacznie spokojniej. To zamykanie ogniska spekulacji w chwilach niebezpieczeństwa narodowego jest właściwie wyrokiem śmierci na nie. Dowodzi bowiem, że jeżeli nawet przyznać giełdzie właściwości jakiegoś miernika wartości, to miernik tego rodzaju, że zachodzi obawa, iż nie weźmie on w rachubę tych imponderabiljów, dla których obywatele w owej chwili właśnie niosą ofiary nie tylko mienia, ale i życia nawet; byłby to więc miernik z gruntu antynatodowy i fałszywy. Giełda nie wypiera się zresztą swego nienarodowego charakteru, nazywa go jeno „czystym objektywizmem" i stawia go sobie jako zasługę. Otóż ten objektywizm, będący tylko kalectwem i fałszem, wyrosłym jak wiele innych na ugorze materjalizmu, sprawi, że w państwie narodowem giełda w jej dzisiejszem pojęciu będzie niemożliwa.

Trzeba sobie zdać sprawę z tego, że zniesienie dzisiejszej giełdy, będąc wyrwaniem jednego z najskuteczniejszych oręży z rąk złotej międzynarodówki, żadnej katastrofy pociągnąć za soba nie może. Wbrew temu, co twierdzi wciąż kapitał spekulacyjny, usiłujący, i jak dotychczas nie bez powodzenia, wmówić w ludzi jakieś niesamowite, mistyczne niemal właściwości giełdy, — insytuc.a ta jest znakomitym terenem ciemnych machinacyj,' prywatnych i politycznych, żywi zgraje spekulantów, bogaci jednych, rujnuje innych, lecz faktycznie rozsądnego i pożytecznego nie doknywa prawie nic, a w każdym razie nic takiego, czego by nie można było dokonać w sposób, nie posiadający ujemnych stron dzisiejszej psychozy giełdowej.

Znaczna część tranzakcyj na giełdach walorów i przygniatająca większość tranzakcyj na giełdach towarowych, szczególnie zbożowych, to tranzkakcje fikcyjne, nieistniejącym towarem. Jest to kupno i sprzedaż objektów, których ani sprzedający nie posiada, ani kupujący nie pragnie faktycznie otrzymać, gra prowadzona według klasycznego wzoru:..—„A co by było, gdybym sprzedał ci takie akcje lub taką ilość pszenicy po takiej cenie z dostawą dnia tego a tego?". Zawiera się na miejscu umowę i termin w niej wymieniony przynosi rozwiązanie zagadki: „to straciłbyś, — odpowiada, ten co kupił,—bo dziś akcje te lub pszenica kosztują więcej, płać więc różnicę kursu". Gdy zaś kurs w dniu dostawy jest niższy od umówionego, to oczywiście sprzedający wygrał i on otrzymuje różnicę. Nazywa się to handel terminowy. Jasne jest, że w takich warunkach wysokość cen musi być uzależniona od tego, która ze stron jest silniejsza, czy grająca na zwyżkę, czy też zniżkowcy i która potrafi lepiej

swoją kampanję poprowadzić. Cóż to więc za „miernik wartości“? Mówi się jednak, że ceny bądź co bądź kształtują się ostatecznie według prawa popytu i podaży, że spekulacja może je tylko nieznacznie zmienić. Na to odpowiedź da przyjrzenie się którejkolwiek kampanji zbożowej na giełdach amerykańskich, kiedy ceny przez całe sezony utrzymywane są na poziomie odpowiadającym tej lub owej grupie spekulantów, skaczą o 50% i więcej w górę lub spadają o tyleż, a tranzakcje dokonywane na papierze kilkakrotnie przenoszą faktycznie istniejące zapasy towaru. „Wielka“ Teresa Humbert uważana była za genjalną oszustkę, ponieważ potrafiła zaciągać pożyczki na podkład miljonowego testamentu, przechowywanego rzekomo w kasie ogniotrwałej, do której nikt z wierzycieli nie zajrzał. Ten nieistniejący testament był źródłem jej majątku. Otóż „*truc*“ wielkiej Teresy uprawiają codzień tysiące giełdziarzy, bogacąc się na handlu fikcjami i nie tylko ich nie zamykają do kryminału, lecz posunięcia ich roztelegrafowuje się na wszystkie strony świata, jako wskazania ekonommiczne.

Giełdziarze, wykrzykując z pianą na ustach i w zapamiętaniu ceny jakichś akcyj, często nie wiedzą wcale, czy właściwie dana fabryka wyrabia armaty, czy cykorję i sprawa ta mało ich obchodzi. Podbijają ceny nie dlatego, że fabryka dobrze prosperuje, lecz dlatego, że są zaangażowani na „zwyżkę“. Utrzymanie sztucznych cen może trwać nieraz bardzo długo, a najlepiej i najdotkliwiej przekonano się o tem u nas w r. 1923, gdy giełda, znalazłszy wygodniejsze pole w obrotach czysto walutowych, porzuciła nagle śrubowane przez całe lata akcje i zostawiła na placu łatwowierną publiczność z pustemi kieszeniami.

W obronie giełdy wysuwany jest także ten argument, że dzisiejsze tempo życia gospodarczego wymaga instrumentu, którybymógł dokonywać szybkiego obrotu wartości i uruchomiać olbrzymie środki. Czy naprawdę zawsze tak jest? Czy ten zawrotny obrót jest nieuchronną koniecznością życia gospodarczego, czy też nieraz tylko warunkiem egzystencji spekulacji? Na całym świecie istnieje mnóstwo przedsiębiorstw, i to właśnie najlepiej prosperujących, które z owej ruchliwości giełdy wcale nie korzystają. To przecież coś znaczy. My u siebie mamy także znamienny przykład: jeden z najstarszych i najlepiej ugruntowanych naszych przemysłów, włókienniczy, jest na giełdzie nieobecny prawie zupełnie; notowane są akcje zaledwie dwóch zakładów, a oba te zakłady przeszły podczas wojny i po niej przez głębokie przeobrażenia.

Naturalnie, giełda jest koniecznym instrumentem w procesie wszędzie już potrochu zaczętym, a gdzieniegdzie daleko posuniętym, opanowywania produkcji przez kapitał spekulacyjny, wyzuwania produkującego przemysłowca z jego własności na rzecz banków. Tak samo niezbędna jest międzynarodówce złotej do osiągania jej celów politycznych. Będzie więc miała obrońców, ubranych nieraz w poważne togi nauki, jednakże państwo narodowe musi z nią skończyć, zarówno jako z siedliskiem demoralizacji, (czego poczucie pozostało jeszcze wyraźne w stosunku opinji do gry gieldowych) jak i z organem międzynarodowej potęgi, równie groźnej dla cywilizacji, jak międzynarodówka czerwona.

Pozytywna rola giełdy jest tak nieznaczna, tak właściwie ubocznie przez nią załatwiana, że nie będzie trudno znaleźć właściwe formy organizacyjne, które przejmą tę niewelką spuściznę.

ZYGMUNT RACZKOWSKI

GRANICE WZGLĘDNOŚCI W DZIEDZINIE JĘZYKA

PROFESOR uniwersytetu warszawskiego, p. Jan Baudouin de Courteney, ogłosił w swoim czasie w „Przeglądzie Warszawskim“ [1]) artykuł p. t. „Względność w dziedzinie świata językowego“. „Wszystko jest względne“—pisał uczony autor. Twierdzenie to poparł obficie dowodami, podsypanemi co prawda garścią bez szczególnego układu, zakończył zaś wnioskiem, że „dla człowieka stojącego poza przemijającemi walkami międzynarodowemi, międzywyznaniowemi i wszelkimi innemi, istnieją tylko dwie wartości bezwzględne: człowiek pojedyńczy i cała ludzkość“; skoro zaś tak, tedy i „w językoznawstwie mamy dwie ostateczności, które się schodzą: język indywidualny, mowę indywidualną, i całość językową, całą ludzkość...“. Wszystkie inne postaci językowe są przemijające — względne.

2. — Nie zamierzam tutaj z wywodami prof. Baudonina polemizować. Biorę je tylko za punkt wyjścia swych rozważań.

Zamierzam — ponieważ sprawa ma znaczenie ogólniejsze i wciąż aktualne — wywody owe uzupełnić w dwojakim kierunku. Po pierwsze postaram się wskazać na istnienie granic uwzględnień w świecie językowym. Konieczność przyjęcia tych granic pociąga za sobą k o n i e c z n o ś ć o p e r o w a n i a f a k t a m i w z g l ę d n e m i j a k o b e z w g l ę d n e m i. Inaczej nie będzie nauki.

Powtóre, postaram się wyjaśnić czytelnikowi przynajmniej zasadniczo, skąd się też bierze względność w dziedzinie zjawisk językowych i na czem ona polega. Zacznę od tego drugiego punktu.

3 — Nigdy widać dosyć powtarzać ludziom tę zasadniczą i tę podstawową arcyprawdę wszelkiego językoznawstwa, że język, przedewszystkiem w znaczeniu, w jakiem normalnie tego wyrazu używamy, a więc mowa ludzka, jest niczem innem, jak pewną formą, którą bierze na siebie pewna treść, a tą treścią jest znowuż nic innego, jak psychika ludzka. Na tej arcyprawdzie opierać się winno i musi wszystko, co tylko o języku orzec możemy. Wszystko bowiem, co w języku jest i co się w nim dzieje, cała jego przebujna rozmaitość w przestrzeni i cały jego niepowstrzymany rozwój w czasie, sprowadza się zawsze i wyłącznie do stosunku formy do treści. Istotę zaś tego stosunku zrozumiemy, wiedząc, że t r e ś ć j e s t wiecznie i nieuchronnie, z natury swojej ż y w a, a f o r m a j e s t, również wiecznie i nieuchronnie i równie z natury swojej, m a r t w a. Jest to *prawda absolutnie bezwzględna*, bo wynika z logicznego stosunku ściśle określonych wyrazów „treść“ i „forma“ i nie jest zależna od żadnych okoliczności towarzyszących. Ona właśnie tłumaczy wszelką względność w świecie językowym, t. j. w świecie formy. Jasną jest bowiem rzeczą, że jeżeli zatrzymamy się (obrazowo mówiąc) przy jakiejkolwiek postaci czy przy jakimkolwiek ułamku tej zasadniczo martwej, stygnącej, skrzepłej i przeto właśnie przez zasadniczo żywą treść do potrzeb swoich nieustannie, a z konieczności niedoskonale, naginanej i nieustannie, a zawsze już z pewnem opóźnieniem, odnawianej formy,—to wszelka tej formy postać i wszelki jej ułamek może jako wyraz swojej treści mieć wartość tylko względną, to zn. odpowiadającą danym warunkom chwili i miejsca

[1]) „Przegląd Warszawski“ r. 1923 nr. 17.

i już o krok dalej, już o chwilkę później te warunki będą zasadniczo inne, a przeto inną będzie wartość owej formy, aczkolwiek ona sama jeszcze się na pozór nie zmieni. Tu mimochodem tylko dodam, że ten pozór przyjmujemy za rzeczywistość i że tylko tym sposobem możliwą jest nietylko wszelka nauka, ale i... teorja względności prof. B., już w założeniu swojem, jak widać, na bardzo względnej oparta podstawie.

Nie będę tutaj rozwijać zasadniczej, teoretycznej strony stosunku formy do treści jako podstawowego zagadnienia wszelkiego językoznawstwa, bo nie o to mi tutaj idzie. Można się zresztą poinformować o tych sprawach z niejednej pracy językoznawczej, aczkolwiek dorywczo i niedokładnie, bo brak dotąd osobnej monografji. Podkreślam jednak, że jest to zagadnienie zgoła nie wyłącznie językoznawcze. Przeciwnie, sięga ono tak daleko, jak daleko sięga wszelkie życie i wszelki rozwój. Językoznawstwo jest tylko w tem szczęśliwem położeniu, że może ściślej, niż inne nauki, określić tę wieczną zależność formy od treści i w sposób niezbity sprowadzić rozwój języka do stosunku tych dwojga. Ale ten sam stosunek leży u podstaw wszelkich przemian czyli wszelkiej ewolucji. Widzą go coraz jaśniej nauki socjologiczne, językoznawstwu przedmiotem swoim pokrewne. Trudniejszy do pochwycenia jest on, rzecz jasna, w naukach przyrodniczych, gdzie bezpośrednio daną mamy tylko formę, a treści wolno się domyślać: wolno się — jej ogromu lękać, oczy przymykając na duchową stronę świata zjawisk. Ale za dużo jest rysów analogicznych w rozwoju, ażeby mogło być inaczej na polu nauk przyrodniczych, niż w językoznawstwie albo w socjologji. Podobnie w innych naukach. Nie mam też żadnej wątpliwości, że przyjdzie czas, kiedy ścisłe dane wyjaśniające istotę rozwoju, czyli istotę stosunku świata zjawisk do świata żywej treści, dostarczone przez nauki specjalne, będzie umiała zużytkować filozofja, czyli, ściśle mówiąc, metafizyka (najzawrotniejsza z nauk, bo — najgłębsza), która istotę tego stosunku zdawna już przewiduje, tylko nie może jeszcze przewidywań swoich oprzeć na gruncie faktów.

4 — Ale względności, wszechwładnej w teorji, zakreśla granice praktyka.

Powiada prof. B., że każdy wyraz, a więc np. *zając* „inaczej się wyobraża i odczuwa“ przez myśliwego, rzeźnika, kucharkę, zoologa it.d. To prawda. Już starożytni Hindusi układali na ten temat sentencje. Ale jeżeli myśliwy czy kupiec powie kucharce: szanowna pani, sprzedam pani *zająca* za tyle a tyle *złotych*, to mimo wszelką względność nie zajdzie omyłka ani co do zwierzęcia ani co do ceny. Co więcej, tylko dzięki temu podsuwaniu bezwględnej wartości w miejsce teoretycznie uprawnionej względnej, możliwa jest struktura życia społecznego, będąca pewnym splotem wzajemnych stosunków między ludźmi.

Tak samo w językoznawstwie. Tylko wówczas będzie istnieć nauka i dawać wyniki dodatnie, jeżeli w miejsce wartości względnych będziemy świadomie i z należnem zastrzeżeniem przyjmowali bezwględne, a zatem, powtarzam, jeżeli pewnemi faktami językowemi zasadniczo względnemi, będziemy operowali jako bezwględnemi.

Prof. B. coś podobnego czyni, ale niezupełnie. Powiada mianowicie: wszystko jest względne, ale (pod pewnym kątem widzenia) dwie są wartości bezwględne, w życiu: człowiek i ludzkość, a zatem w językoznawstwie język jednostki i całość języków na ziemi. Nic łatwiejszego, jak to apodyktyczne twierdzenie sprowadzić do absurdu.

Przedewszystkiem, cóż tu za bezwględność — u apostoła względności! — mówić: *są*, zamiast powiedzieć skromnie: *przyjmujemy*. A powtóre, w myśl samychże wywodów, sz. profesora, albo naprawdę wszystko jest względne, a wówczas niema wartości bezwględnych (i tak powiada konsekwentnie modny dziś fizyk, który prof. B. do jego artykułu natchnął), albo też, zmuszeni koniecznością, będziemy takie wartości przyjmować, a wówczas dlaczego właśnie dwie, a nie tyle, ile się dla nauki okaże pożyteczne? Czy naprawdę dlatego, że tyle tylko mieści się w głowie „człowieka stojącego poza wszelkiemi walkami..“ it.d. Złudzenie! Mało jest ludzi na tej szerokiej ziemi, których działalność publiczna byłaby do tego stopnia nieustanną walką, i to zaczepną, jak nią jest działalność publiczna prof. B. A zresztą, kąt widzenia w słowach owych zawarty nie ma z nauką nic wspólnego: jest polityczny, społeczny, partyjny, etyczny czy co kto woli, tylko nie językoznawczy.

5. — Więc naprzód krótki dowód, że twierdzenie sz. profesora nie da się utrzymać.

Zasadniczo biorąc, język jednostki wcale nie mniej nie jest wartością bezwzględną, jak gwara, język narodowy i t. d. Jest on tylko bardziej ograniczony w czasie i w przestrzeni. Ale sama jednostka, albo ściśle biorąc, jej treść psychiczna (o którą nam tu tylko idzie) zmienia się nieustannie od pierwszego do ostatniego tchnienia. W 20-ym roku mego życia znałem olbrzymią ilość „tych samych“ wyrazów, co znam dzisiaj, po latach znów dwudziestu. Ale treść ich była na całej linji, stanowczo i nieuchronnie różna, niż jest dzisiaj. Podobnież, ta sama jednostka mówi różnie, w zależności od nastroju, otoczenia i t. d. Wszystkie te różnice są przeważnie mało znaczne, ale nieraz owszem duże, a czasem wręcz ogromne. Język jednostki można tedy tylko p r z y j ą ć, w celach praktycznych i w pewnych granicach, na różnice oczy zamykając, za wartość bezwzględną, ale nie wolno mówić, że nią j e s t. Pozostaje to zresztą w zgodzie z względną wartością całego pojęcia jednostki ludzkiej. Widzimy tu z jednej strony biologów w rodzaju Haeckla, którzy krzywią nosem na jednolitość psychiki (ba, słyszeleśmy nawet duszach komórkowych: „*zellerscelen*“), z drugiej strony o wiele głębszych, niż tamci, uczonych psychopatologów (np. Pierre Janet) albo metapsychików (np. tak bystrzy psychologowie jak Flournoy lub Ochorowicz), którzy w jednolitej na pozór jednostce wyróżniają całe szeregi odzielnych osobowości. Jednostkę ludzką także więc wolno przyjąć za wartość bezwzględną tylko, *cum beficio spatii et temporis*, ale nie wolno mówić, że nią jest.

A całość języków ludzkich? Przyznam się, że tego określenia wogóle nie bardzo rozumiem. Całość języków ludzkich, w czasie i przestrzeni, nie jest już dlatego wartością ani względną, ani bezwzględną, że jest poprostu nierealną i żaden uczony operować nią nie może. Nawet i tacy uczeni na palcach się prawie dadzą policzyć, którzy posiadając niezgorszą i mniejwięcej równomierną znajomość głównych typów językowych, mogą do pewnego stopnia i bardzo niedoskonale opierać swoje badania na jakiem takiem wyobrażeniu całości języków ludzkich. Ale i to jest możliwe wyłącznie przez wyróżnienie i przyjęcie pewnych typów językowych, a zatem wartości bardzo względnych, któremi się z konieczności posługujemy tak, jakby w pewnej mierze były bezwględne. Nawiasem mówiąc, prof. B. do tych niewielu uczonych nie na leży, co zresztą jego uczoności najmniejszej ujmy nie przynosi. Przypuszczam też, że mówiąc o całości języków, miał na myśli co innego, a mianowicie pewną sumę faktów

i stosunków wspólnych wszystkim (o ile tak, na podstawie częścią znajomości, częścią analogji, powiedzieć możemy) językom ludzkim, a zatem określającym istotę i rozwój języka wogóle.

Tak, tym sposobem możemy sobie całość języków ludzkich przyjąć jako wartość bezwzględną i z pożytkiem dla nauki. Ale znowu: tylko przyjąć. W rzeczywistości i ta wartość jest względna. Wszak istota i rozwój języka są te same, co istota i rozwój wszelkiej mowy wogóle, zarówno ludzkiej jak zwierzęcej. Biologja dawno zrównała nasz organizm ze światem zwierzęcym. Psychologja *tout court*, czyli psychologja ludzka, coraz częściej i coraz owocniej sięga po dane dostarczone przez psychologję zwierząt. Językoznawstwo prawie się jeszcze w tę dziedzinę nie zapuszcza, ale i ono uszczknęło tam niejeden fakt ważny i ciekawy. Byłoby hamowaniem i krzywdą nauki, gdybyśmy naprawdę mieli powiedzieć: ostateczna wartość bezwzględna w dziedzinie języka, to... ogół języków ludzkich. Tak nie jest! W przyjęciu tej wartości już tkwi ograniczenie. Prawda, że nauce ono pod pewnym względem korzyść przynosi, podobne jest przyjęcie za wartość bezwzględną języka jednostki, gwary, języka narodowego, rodziny języków i t. d., ale nie mniej jest ono ograniczeniem, a nie kresem ostatecznym. Na hasło prof. B., upatrującego ostateczną wartość bezwzględną w „całej ludzkości“ odpowiedzą setki miljonów ludzi, czwarty już tysiąc lat wychowywanych przez cywilizację indyjską, hasłem nieporównanie szerszem: nie cała ludzkość, ale—wszystko co żyje, wszystko co istnieje! I mają słuszność te miljony. Są na świecie horyzonty szersze i ideały wyższe, niż je sobie zakreślił *homo sapiens* z tego czy owego odłamu stronnictwa liberalnego. Chybaż zaś wstyd byłoby uczonemu sięgać rozumem mniej daleko, niż sięga wierzący Hindus myślą i sercem.

Nie wolno tedy prof. B. twierdzić, że cała ludzkość czy całość języków ludzkich to są ostateczne bezwzględne wartości w życiu i w nauce. Bezwzględność ich nie ostoi się ani przed sercem ani przed głową. Względne one, jak wszelkie inne, tem tylko od innych różne, że wyhodowane w umysłach ludzi, którzy łudząc się, iż stanęli „poza wszelkiemi przemijającemi walkami“, w istocie toczą tą wieczną i nieubłaganą walkę, jaką jest życie, nieskończona suma walk przemijających, pod hasłem ideału mniej uchwytnego, niż inne, a w sposób bardziej jątrzący, właśnie przez to, iż przecząc rzeczywistości wołają: myśmy wyżsi ponad wszelkie walki!

6. — Idzie zatem o to, ażeby wskazać, na czem polega zakreślanie granic względności w świecie językowym i jaka jest zasada ustanawiania wartości bezwzględnych. Oczywiście musi to być zasada objektywna, t. zn. z punktu widzenia badacza oparta na jakichś danych zewnętrznych, przedmiotowych, nie wolno przyjmować zasady subjektywnej, jak to uczynił prof B., uzależniając zagadnienie względności i bezwzględności w językoznawstwie od osobistego stanowiska wobec „walk międzywyznaniowych i międzynarodowych“, bo to jest, jak już rzekłem, stanowisko jakie kto chce, tylko nie naukowe.

Zasadą, której szukamy, jest zasada indywidualizacji.

Wytłumaczę się krótko. Nauka nie znalazła jeszcze formułki, w którąby można ująć indywidualność. Nie znalazła z tej prostej przyczyny, że zna tylko świat zjawisk i że na warsztat swój może brać tylko elementy formalne. Zostając jednak przy nich powiedzieć możemy, że indywidualnością jest taki zespół pewnych właściwości, który się w tym układzie i w tym wzajemnym stosunku gdzieindziej nie powtarza, posiada zaś *mutatis mutandis* i w głównych zarysach, pewną trwałość w czasie. Tym sposobem możność indywidualizacji jest niezmiernie rozległa. Konieczność jej jest nieodparta w każdej nauce, a chociaż wartość uzyskanych tym sposobem indywidualności będzie względna, to jednak chcąc wogóle pracować naukowo, musimy je przyjmować za bezwzględne. Więc np. zoologowie dzielą sobie świat zwierzęcy na rzędy, gatunki, rodzaje i t. d., nadając temu podziałowi wartość praktycznie bezwzględną, aczkolwiek wiedzą doskonale nie tylko to, że jest on względny, ale i to, że względny jest nawet rozdział świata zwierzęcego od roślinnego. Cóżbyśmy powiedzieli o takim np. ornitologu, któryby oświadczył: ja nie mogę przyznać bezwzględnej wartości rozróżnianiu ptaków od węży, bo mam niezbite dowody (paleontologja, embriologja i niektóre cechy wspólne), że to są szczególnie blizcy krewni i mają wspólnych przodków. Albo zgoła o takim, któryby mówił: ja uznaję tylko komórkę i całość objawów życia — reszta to są wartości przemijające! Tak właśnie czyni prof. B.

My uczynimy inaczej. Powiemy: przyjmujemy za wartość bezwzględną język jednostki, ale nie dla jakichś liberalnych *idées preconçues*, tylko dlatego, że stanowi on indywidualność, którą w pewnych warunkach i granicach możemy wygodnie operować z pożytkiem dla nauki. Pozatem jednak, przyjmujemy za wartość bezwzględną język wszelkich innych indywidualności, czy to jednostkowych czy zbiorowych. Tym sposobem musimy z jednej strony, wyróżnić w obrębie jednej i tej samej jednostki pewną ilość bezwzględnie różnych języków zależnie od danych warunków: język pana X między 2 — 4 rokiem życia jest bezwzględnie różnym językiem, niż język tegoż p. X n. p. w r. 40-ym, język Mickiewicza jako poety Farysa lub Ody do młodości jest bezwzględnie różnym, niż język Mickiewicza z „Trybuny ludów“ albo z kółka domowego w r. n. p. 1833 i t. d.; — z drugiej strony, musimy wyróżnić cały szereg języków: zbiorowych, zawodowych, gwar, narzeczy, języków narodowych, typów językowych i t. d. podział zresztą jest oczywisty i w grubszych zarysach narzuca się z zewnątrz, dopiero ściślejsza klasyfikacja popada w trudności, które są nieodłączone od wszelkiej klasyfikacji w świecie zjawisk.

W całej tej klasyfikacji najbezwzględniej silnie zarysowanemi indywidualnościami są właśnie języki narodowe, które prof. B. zbywa lekkim sercem jako wartości przemijające i względne; terminu „języki narodowe“ używam oczywiście *a potiori*, wiedząc doskonale, że te zrzeszenia społeczne, których one są własnością, nie zawsze nosiły nazwę narodu i nie zawsze ją noszą. Równie zaś bezwzględną wartość posiada, w obrębie języków narodowych, podział na gwary i narzecza i nic nie pomoże głośne podnoszenie trudności teoretycznego określenia gwary i praktycznego jej rozgraniczenia od innych; dialektologja ma ogromne znaczenie dla językoznawstwa właśnie przez to, że operuje gwarą jako wartością bezwzględną, nie dając się wieść na bezdroża wątpliwości zasadniczych. Wszak jeszcze trudniej zakreślić granice wieku dziecinnego, a niema chyba językoznawcy, któryby językowi dziecinnemu odmówił bezwzględnej indywidualności.

Wszystkie te i niezliczone inne postaci języka są, owszem, przemijające (ale przeważnie trwalsze, niż język... jednostki!) i jedna od drugich ściśle nie odgraniczone, a przecie posiadają, jako pewne indywidualności, wartość bezwzględną. To są fakty, jednakowo pewne jak gwiazdy nad nami, chociaż jednakowo nieuchwytne; no i jednakowo niepewne — jak kto

woli, ale fakty: pierwsze psychiczne i społeczne, drugie fizyczne czy też fizyko—chemiczne.

Logicznie biorąc, wszelka nauka do tem pewniejszych doprowadzi wyników, im bezwzględniejszemi wartościami będzie mogła operować, nie tracąc zresztą z oczu ich rzeczywistej względności. Otóż, gdybyśmy, wysnuwając wnioski z wskazań teoretycznych prof. B., oparli nasze badania o te dwie jedynie bezwzględne wartości, jakiemi są rzekomo języki jednostkowe i całość języków, wówczas w pierwszym wypadku zgubilibyśmy się w nieprzejrzanej mnogości szczegółów, w drugim zaś — nie zrobilibyśmy wogóle nic a nic. A tymczasem językoznawstwo ostatnich lat stu poczyniło postępy istotnie olbrzymie i osiągnęło wyniki wspaniałe, operując głównie i przeważnie językami narodowem, jako bezwzględnemi indywidualnościami. Ba, co ciekawsze, właśnie językoznawstwo ogólne, „ta nauka samoistna i wyodrębniona od innych", która zdaniem prof. B. opiera się na owych dwóch przez niego wysuniętych i rzekomo jedynie bezwzględnych wartościach, została faktycznie postawiona jako badanie rozmaitości mowy ludzkiej w zależności od różnic przedewszystkiem narodowych. Tylko poznanie różnic pozwala dojść do tego, co jest wspólne. Tak pojmowali językoznawstwo ogólne jego założyciel, słynny Wilhelm von Humboldt (głównie w dziele *Über die verschiedenheit* — sic! — *des menschlichen Sprachleben*) i jego następcy, którzy byli bardzo nieliczni, bo przedmiot jest bardzo trudny. Językoznawstwo ogólne, o którem mówi i które uprawia prof. B., jest raczej poprostu psychologją języka, której przedstawiciele opierają swe wnioski przeważnie na materjale nie mającym nic wspólnego z całością języków; prawda, że terminologja jest nieustalona i trudno się tu zapuszczać w dłuższe wywody, ale w każdym razie językoznawstwo ogólne w rozumieniu prof. B. jest od tamtego późniejsze i z niego wyszło.

7. — Jeszcze kilka uwag na zakończenie. Język jest w równej mierze wyrazem potrzeby ekspresji jednostki ludzkiej, jak funkcją jego roli społecznej. Człowiek jest w równej mierze jednostką, jak członkiem społeczeństwa. Językoznawca może w danej chwili skupić uwagę na jednej lub drugiej stronie języka, ale winien ustawicznie mieć je obie na oku, jednostkową i społeczną. Jednakże pojęcie społeczeństwa bynajmniej nie jest jednoznaczne z pojęciem „całej ludzkości" Człowiek tylko teoretycznie, jako przedstawiciel gatunku *homo sapiens* jest członkiem całej ludzkości. Jak dotąt (wolno ubolewać) legitymacja ta trąci o wiele więcej zoologją, niż humanitarnością. Faktycznie człowiek jest zawsze członkiem kilku grup społecznych, z których jedne wiążą go silniej, inne słabiej, jedne są węższe, drugie szersze. Najwęższą jest rodzina; najszerszą—mimo wszystko—obręb cywilizacji grecko-rzymsko-chrześcijańskiej, jeżeli o nas idzie. Ale najsilniejszą jest w ogromnej przewadze naród. Otóż każda z tych grup ma swój wykładnik językowy, a najsilniej zarysowanym jest znowuż język narodowy. To są wszystko fakty, bez których nie tylko językoznawca obejść się nie może, ale które stanowią przedmiot badania innego, pokrewnego, nauki socjologji, starającej się je coraz ściślej określić, a zatem nadać im w nauce wartość coraz bezwzględniejszą. Dla prof. B. takie fakty, jak grupy społeczne, zdają się nie istnieć. On uznaje tylko człowieka i ludzkość. Nie chciałbym być złośliwym, ale takie stanowisko mimowoli przypomina stare panny angielskie, które dobrze sobie podjadłszy („jednostka") szyją koszuliny dla biednych dzieci murzyńskich („ludzkość"), obojętnie patrząc na nędzę własnego przedmieścia. A dzieci murzyńskie biegają sobie goło, o dewotkach angielskich nic nie wiedząc, i pożytek z tych koszul ma tylko misjonarz anglikański, któryby inaczej musiał zwinąć interes, bowiem postępy w Afryce robi islam, traktujący murzynów realnie, bez pustych frazesów o „całej ludzkości".

To trudno. *Qui tropm ebrasse mal ètreint* — w życiu i w nauce. Wszystko jest dobre na swojem miejscu. Jak na dzisiaj, ludzkość jest mniej, niż naród. Co przyszłość przyniesie, nie wiemy.

ANDRZEJ GAWROŃSKI

CZY CONRAD JEST PISARZEM POLSKIM?

I. REMINISCENCJE I MOTYWY POLSKIE

CONRAD pisał po angielsku—stąd przynależność formalna utworów jego do literatury angielskiej, tem ściślejsza, że reprezentują one niemałe walory stylistyczne. Czy mimo to, wbrew kryterjom formalnym, nazwać można Conrada pisarzem polskim, na zasadzie istotnego, organicznego związku jego dzieła z cywilizacją narodową polską? Poszukiwanie takiego związku i ocena jego charakteru musi być głównem zadaniem krytyka, interesującego się sprawą narodowości conradowskiego dzieła. Musi on jednak także zorjentować się w znaczeniu zewnętrznych niejako śladów polskości, formalnie wiążących to dzieło ze światem cywilizacji polskiej—a więc zdać sobie sprawę z wpływu polszczyzny na styl Conrada, z roli polskich renimiscencyj i motywów, i to na wstępie poszukiwań. Dopiero z czasem kwestja ta będzie zbadana i opracowana dokładnie, ale tu wystarczy objąć pobieżnem spojrzeniem te zależności i uprzytomnić sobie jeno ich granice.

Przypuszczenie, że mowa macierzysta urobiła jakoś według wzoru rodzimego mowę, którą Conrad przybrał dla fantazji, nasuwa się samo przez się. Do szukania formalnego wpływu literatury polskiej na dzieło Conrada uprawnia dodatkowo ta refleksja, że autor ten swoją znajomość arkanów angielszczyzny posiadł zdala od środowisk kulturalnych, na morzu — edukację tę odebrał więc z książek. Obok żywota marynarskiego wiódł drugi żywot — pustelniczy—żył literaturą angielską, rozmiłowując się w niej coraz bardziej i suggestjonując jej czarem. Wiemy (*Personal Record* wyd. Nelsona 159), że na jedną z pierwszych podróży oceanicznych, tę mianowicie, w której miały go spotkać najniebezpieczniejsze perypetje, zabrał wydanie kompletne Szekspira, i wziął się do czytania przy akompanjamencie młotków, gdy jeszcze okręt reparowano w porcie. Lektury te odbywały się zapewne w tajemnicy przed towarzyszami, tak jak w tajemnicy przed nimi pisana była później „Fantazja Almayera". Zamiłowanie literackie z czasem miało wziąć górę nad żeglarskiem; zresztą sam początek marzeń o karjerze marynarskiej był książkowy.

Umysł, który na tej drodze przyswoił sobie wszystkie odcienie języka obcego, musiał przedtem podlegać wpływowi lektury polskiej, okazując podobną chłonność. Pierwszych wyrazów angielskich nauczył się Conrad dopiero na morzu Północnem, mając lat około osiemnastu, a już jako dziecko pięcioletnie był pożeraczem książek (*P. R.*, 155). Zdawało mu się przecież w swoim czasie, kiedy czytał „Mikołaja Nickleby" w przekładzie, że bohaterowie Dichensa naj-

lepiej wysłowić się mogą po polsku. (*P. R.*, 156). Po angielsku zaczął pisać wprawdzie odrazu poprawnie, ale też późno, w każdym razie nie wcześniej, niż w latach dziewięćdziesiątych. Stanowczo odrzucić należy twierdzenie Cunninghame Grahama (p. przedmowę do *Tales of Hearsay*), jakoby pierwszą nowelę („*The Black Mate*") napisał w r. 1884, — czyli w sześć lat mniejwięcej po przyswojeniu sobie początków języka! Wyraźną wskazówkę pod tym względem stanowią zarówno pierwsze słowa noweli („Dobrych parę lat temu... Mówię o latach osiemdziesiątych"), jak kategoryczne oświadczenie Conrada w pamiętniku: [„Nim zacząłem pisać tę powieść („Fantazję Almayera"), miałem w dorobku swego pióra tylko korespondencję, i to niewielką. Nigdy w życiu nie zanotowałem żadnego faktu, wrażenia ani anegdoty"].

Reminiscencyj i naleciałości polskich należałoby poszukiwać we wszelkich konstrukcjach, świadomie czy nieświadomie utworzonych na wzór polski, czyli, z domniemania ogólnego, we wszystkiem, co w prozie Conrada stanowić może odchylenie od tradycyj i konwenansów literackich angielskich. Ustanowienie domniemania ogólnego na korzyść francuszczyzny nie ma oczywiście sensu. Hypoteza ta, obowiązująca krytyków angielskich, wydaje się jedyną, gdy się nie przypuszcza, żeby Polska miała własną literaturę. W Polsce mogła się zrodzić tęsknota Conrada do wolnej Anglji; oto, co dała ojczyzna; przysposobienie literackie otrzymał dobrowolny wygnaniec we Francji. Tak mniejwięcej stawia sprawę Hugh Walpole. Metoda dowodzenia nader prosta. „Wpływ Flauberta nie ulega wątpliwości" — woła („*Joseph Conrad*", 78), przytaczając jako dowód, jedno, i to niezbyt przekonywające zestawienie.

Trzebaby szczególnej kompetencji zarówno w dziedzinie angielszczyzny, jak polszczyzny, żeby stwierdzić, jak dalece proza, styl, zwroty Conrada kształtowały się pod wpływem polskiej mowy potocznej, polskich tradycyj i konwenansów literackich. Pracy tej nikt nie przedsięwziął, choćby od strony jednego tylko języka. Krytycy angielscy w najlepszym razie poprzestają na ogólnikach mówiąc o „muzyczności obcej rasy" (R. Curle), o „wyrażeniach nieangielskich, które przydają wdzięku angielszczyźnie" (Cunninghame Graham). Polak też nieraz odnieść może wrażenie, że odrębności rytmiczne prozy Conrada są pochodzenia polskiego, że w stylu tu i owdzie zachował się polski obyczaj; że te, tak świeżo wypadające w języku obcym określenia są szczęśliwą transpozycją pewnych konwencjonalnych polskich określeń... Możnaby się dzielić temi wrażeniami, lecz, ostatecznie, są to tylko wrażenia. Ustalenie konkretnych zależności wymagałoby subtelnej, ostrożnej i ścisłej analizy; postępowanie to byłoby ułatwione, gdyby krytycy angielscy przygotowali materjał,wykazując,co w pozie Conrada stanowi jej odrębność z angielskiego punktu widzenia.

Z większem prawdopodobieństwem domyślać się można pewnych konkretnych reminiscencyj literackich. Jest ich, jak się zdaje, bardzo niewiele; przeważnie zaś są to echa naszej poezji romantycznej. Najbardziej charakterystyczne przypadają na pierwszy okres twórczości Conrada, gdy pisarz „uczący się jeszcze języka, w którym tworzył, przypominał cudzoziemca który krzyczy, bo sądzi, że go wtedy łatwiej można zrozumieć", a „styl cierpiał wskutek tego, że autor postanowił pisać pięknie" (Hugh Walpole, op. cit., 74, 75, 76). W okresie tym reminiscencje z polskiej poezji romantycznej nie powinni dziwić—choć dziwnie trochę brzmią słowa wajdeloty w ustach Malajczyka. Babalatchi, polityk z Celebesu, pewien swój wywód tak kończy: „Lecz czemu zbiegłe opłakiwać czasy (i mówić o zmarłych?) Wszak jest mąż żywy, wielki, niedaleki..." [„*But why lament the past* (*and speak about the dead?*) *There is a man, living, great, not far off*..." ‚*An Outcast of the Islands*", wyd. Tauchnitza, I, 89]. Halban śpiewał: „Lecz czemu zbiegłe opłakiwać wieki? I swoich czasów śpiewak nie obwini. Bo jest mąż wielki, żywy, niedaleki..." Jest różnica w słowach, lecz rytmicznie ta wzmianka o zmarłych jest na swojem miejscu.

Znowu w noweli „Książę Roman", jedynej z tłem polskiem, spotykamy arendarza Yankela, polskiego patrjotę, ubranego w „strój czarny, do kostek sięgający" i noszącego „długą brodę siwą", którą lubi gładzić... Lecz to zapewne życiowa także, nietylko literacka reminiscencja: wiemy od Tadeusza Bobrowskiego, że mąż ciotki pamiętnikarza, Adam Jabłoński „zawsze zadłużony... pozostawał głównie w ręku arendarza mojego ojca, Jankiela..." (Pamiętniki Bobrowskiego, I, 9).

Z pamiętników tych Conrad wziął więcej, niż z jakiegokolwiek innego źródła literackiego, całe karty bowiem przeniósł niemal żywcem do „*Personal Record*". Nie podał źródła, lecz przepisane urywki przeważnie włożył w usta wujowi. (p. „*Personal Record*", str, 73—79 i Pam. Bobr. II, 13, 14).

Poza autobiografją, nowelą powstańczą, o której wspomnieliśmy, i kilku artykułami natury publicystycznej („*Poland Revisited*" „*The Crime of Partitions*" „*First News*", „*A Note on Polish Problem*") motywów polskich w pismach Conrada prawie nie znajdujemy, Motywy te nie są mu potrzebne, a gdy się nasuną, traktowane są z wstrzemięźliwością zadziwiającą. Pisząc nowelę z czasów napoleońskich („Pojedynek"), wspomina tylko błoto i kurz równin polskich; w powieści z tych samych czasów, ostatnim utworze Conrada, taka jedyna na cały tom wyraźna wzmianka: „Henrietta chciałaby coś wiedzieć o spotykanych przezeń osobistościach z wielkiego świata, korzystających z otwartej od niedawna możliwości jeżdżenia zagranicę: Anglikach, Franzuzach P o l a k a c h, Niemcach". („*Suspense*", Tauchn., 79).

Częściej nieco zdarzają się aluzje, w rodzaju tej np.: „(Sir Charles Latham)... schylił się i pocałował córkę w czoło — córkę, tę Angielkę. Towarzyszka jej (Francuzka) odchodziła — na to nie mógł nic poradzić. Wielka bitwa ogołociła jej życie z jasnych promieni. Była to zła strona należenia do narodu francuskiekiego, czy jakiegokolwiek innego na kontynencie". Autor zazwyczaj nie wspomina rzeczy polskich z imienia, nawet gdy o nich myśli. Gdzie zamiar propagandowy (jak w artykułach) nie przyświeca mu wyłącznie, tam od zamiaru takiego jest jaknajdalszy. Wzmianki autobiograficzne w „Zwierciedle Morza" mają charakter czysto osobisty. Szczytem zaś wyrzeczenia się jest dozwolenie, gwoli prawdopodobieństwu, aby bohater powieści, Szwed, cytował przysłowie polskie, podając je za rosyjskie. Powiada mianowicie Heyst: „Istnieje, zdaje mi się, w Rosji, przysłowie: „Gość w dom, Bóg w dom..," („*Victory*", 361).

Bilans tych spostrzeżeń? Skromna zaiste jest ta inkrustacja polska. Te nieliczne polskie ornamenty, jakich kilkanaście przypada na dwadzieścia parę tomów, zbyt słabym ciężarem padają na szalę polskości, by mogły nie już przeważyć, lecz choćby chwilowo zachwiać przewagę pierwiastków zewnętrznie angielskich. Dotyczy to conradowskiej beletrystyki. Co do artykułów propagandowych, to niektóre z nich do dziś oddawać mogą usługi sprawie polskiej, świadcząc, że Polak nie wyobraża sobie Polski bez kresów i bez Gdańska.

WITOLD JERZY CHWALEWIK

LIBERUM VETO

Poczucie prawa, niezgoda szyldu ze sklepem i trudność życia, jako przyczyny zorganizowanego gniewu. — Niebezpieczna rada. — Oszczędności w życiu skończonem i nieskończonem. — Korzyść chudych. — Damy. — Załatwienie spraw najważniejszych przed zwołaniem Sejmu. — Nawywrót.

DOPRAWDY, trudno nie być „szczekaczem" — jak w nowo-urzędowym stylu nazwano członków „zorganizowanego gniewu". Trudność ta wynika z kilku przyczyn. Przedewszystkiem z poczucia prawa, które wyrosło w duszach naszych niedawno, ale zapuściło korzenie głęboko. Rozważając przeszłość narodu polskiego, jego błędy i wydane na niego wyroki śmierci politycznej, doszliśmy do przekonania, że odzyskawszy niepodległość, powinniśmy strzedz ją przed ponowną utratą unikaniem tego wszystkiego, co nas zgubiło — a więc: łamania praw gwałtami dla osiągnięcia celów osobistych, rozstroju wewnętrznego, podporządkowywania interesu państwa interesom jednostek, zamącania życia narodu rozmaitemi konfederacjami i zamachami. Przekowanie to w obecnej porze okazało się „nieaktualnem", ale na nieszczęście tak silnem, że jego wyznawców doprowadziło do „zorganizowanego gniewu". Daremnie rzecznicy „sanacji moralnej" starają się nas uzdrowić, daremnie ostremi napomnieniami i świszczącym „batem" tłumaczą nam, że wiążą swoje postępowanie z przerwanem pasmem dziejów, że bezprawia, sprzysiężenia, rokosze tkwią w tradycji narodu, że wszelkie przeciw nim protesty „szczekaczów" należy co prędzej i ostatecznie „zlikwidować"; my ciągle trwamy w swoim tępym uporze. Drugą przyczyną jest — mówiąc przenośnie — niezgoda szyldu z tem, co jest i co się dzieje w sklepie. Jeżeli szyld zapowiada: praworządność, demokratyzm, republikanizm, uczciwość i inne cenne produkty kultury, to one powinny znajdować się w magazynie; tymczasem on posiada i sprzedaje zupełnie co innego. Bolszewicy umieścili nad bramą swego państwa: „raj", okazazało się zaś, że to jest piekło. Nieszczęśliwcom żyjącym w tym raju nie wystarcza sama jego nazwa, zgodziliby się nawet przemianować go na piekło, aby tylko rzecz sama była już nie rajską, ale chociażby tylko ziemską. Tytuł „sanacji" nie zadowala uczestników „zorganizowanego gniewu",— oni woleliby chorobę, która by im dała zwyczajny chleb i odzież, zwyczajne prawo, zwyczajną wolność, zwyczajną radość życia. Wszystkiego tego brak. Najkonieczniejsze środki i warunki istnienia albo znikły, albo zmniejszyły się do miary, dosięgającej zaledwie poziomu potrzeb proletarjatu, dążącego do „dyktatury". Drożyzna wzrasta groźnie i bezczelnie. Przyznał to sam p. Bartel w przedmowie do świeżo wydanego sprawozdania ekonomicznego, wskazując ją jako plamę na słońcu obecnego okresu.

Oto wiarogodny list w tej sprawie. „Gazety — pisze moja korespondentka — radzą, ażeby publiczność pilnowała ogłoszonej urządownie ceny węgla i o każdem jej zwiększeniu przez składników zawiadomiała policję. Niech szanowni doradcy spróbują tej walki a niewątpliwie osiągną taki jej rezultat: handlarz zostanie lub nie zostanie przekonany o nadużyciu i ukarany, ale za to zawiadamiający nie dostanie ani grama węgla, zwłaszcza jeżeli obszedłszy daremnie inne poblizkie składy, w tym jednym znalazł trochę „czarnego djamentu". Będzie więc marzł i głodował a w dodatku musi odbyć kilkakrotną stójkę w komisarjacie i sądzie, po której przeklnie swoją dzielność i wyrzeknie się raz na zawsze samoobrony pod opieką cen urzędowych. Wszyscy, którzy na tej drodze szukali triumfu i zdobyli smutne doświadczenie, potwierdzą tę przestrogę. Nielekkomyślni i lękliwi płacą i płacić będą wszelkie ceny, jakich łupieżcy węglowi żądają, wypadnie im to znacznie taniej". Wynaleziono drugi ratunek — oszczędności. Za przykładem innych krajów ma się u nas odbyć uroczysty obchód na cześć tej cnoty. P. Boy tak tłumaczy jeden ustęp z „Żywota pań swowolnych" Brantome'a: „Wynajdź jeno wasza miłość sposób — mówi podstarzały jegomość do kuszącej go damy — ażeby mi przyszła oskoma, bowiem co do reszty ja już łacno najdę, jak się z tem załatwić". Owszem, będziemy robili oszczędności, tylko wynajdźcie wprzódy sposób, ażebyśmy je mieli. Nakazać ludziom, ażeby coś składali do skarbonki, kiedy nie mają co włożyć w usta — to jest dowcip w stylu pań swawolnych. Nie można go jednak odrzucić bezwzględnie. Badacze długości życia ludzkiego twierdzą, że do stu lat dochodzą tylko bardzo chudzi, tłuści zaś muszą wcześnie się położyć. Paskarze, kupcy, państwowi i komunalni mechanicy śruby podatkowej i inni hygieniści obchudzają nas tak starannie, że niedługo iść będziemy do mety życia jako linje, istoty jedno-wymiarowe. A nawet wnosząc z najświeższych zapowiedzi zmniejszenia drożyżny przez powiększenie jej ciężaru za pomocą podwyżki taryf kolejowych, tramwajowych i t.p., można przypuścić, że osiągniemy chudość, która nas uczyni nieśmiertelnymi. Gdybyśmy przytem zdołali oszczędzić grosz rocznie, niepodobna obliczyć sumy, jaka by się zebrała w nieskończoności.

Jest wszakże w społeczeństwie naszem jedna klasa ludzi, która już dziś może oszczędzać — damy. Mówią: damy, a nie kobiety, bo taka nazwa należy się słusznie 99 na 100 niewiast ujedwabionych, ufutrzonych, ulakierkowanych, a zajmujących wszystkie szczeble społeczne od służących i córek wyrobników aż do paskarek i arystokratek. Często ojcowie i mężowie nie mają co jeść i czem się odziać, ale córki i młode (poniżej 50 lat) żony muszą mieć wszystkie ozdoby półobnażonego ciała, jakie tylko wymyśli głupota pozbawiona gustu. Świadkowie wspaniałego pogrzebu bandyty Zielińskiego zapewniają, że żeńska połowa orszaku budziła zachwyt i zazdrość swemi strojami. Nie należy temu się dziwić: bandyci są dziś pierwszoplanowymi bohaterami naszej tragikomedji a ich dochody stanowią w budżecie społecznym najwyższe sumy, nie płacą przytem podatków ani majątkowego ani dochodowego, ani obrotowego, ani patentowego, ani mieszkaniowego i z pewnością nie będą płacili ani schodowego, ani piecowego, ani kuchennego, ani strychowego, ani butowego, ani koszulowego, ani żadnego z tych, które prędzej czy później będą wprowadzone dla „zmniejszenia drożyzny" i „ulżenia ciężaru życia klas najuboższych".

Zresztą wszystko najlepiej się dzieje na tym naszym najlepszym ze światów, a najbardziej zadowoleni są ks. Radziwiłłowie, którzy dowiedzieli się, że historja kłamała i że właśnie oni są powołani do zbawienia Polski. Obrońcy konstytucji nakiwali się palcami w butach z powodu bezprawnego odroczenia sesji sejmowej, prasa opozycyjna wypowiedziała swym jędrnym i energicznym językiem „stanowcze zastrzeżenia", „głębokie ubolewania" i „silne zaniepokojenia", starostowie otrzymali instrukcje, jak mają zachowywać się wobec interesantów w pokoju przyjęć, posłowie zostali pouczeni, kiedy mają wstawać, kiedy siadać, poczem już sejm mógł być zwołany. Przyznajcie, że mało było chwil w dziejach naszych, w których mężowie stanu, publicyści i wodzowie stronnictw politycznych zajmowaliby się równie poważnemi i doniosłemi

sprawami. Teraz już napewno twierdzić można, że „Polska nie zginęła, póki my żyjemy“. Pozostał jeszcze tylko jeden kłopot niezałatwiony. Żywioły narodowe twierdzą, że dla nadania naszym ciałom ustawodawczym siły i sprawności należy zmienić ordynację wyborczą. W tym celu ogłaszają ze wszystkich stron kraju żądania uchwalone na zebraniach obywatelskich. Otóż mojem zdaniem jest to droga błędna. Bo właśnie dla osiągnięcia pożądanego skutku powinnyby uchwalać i ogłaszać, że nie życzą sobie zmiany ordynacji wyborczej, wtedy by ona nastąpiła niewątpliwie, bo taka jest obecnie u nas metoda „liczenia się z opinją publiczną“. *A contrario* — nawywrót.

Nie tylko w tym wypadku. Wogóle jeżeli się chce zrozumieć zagadkowe i niepojęte fakty w naszem obecnem życiu, trzeba wszystko brać odwrotnie. Krąży nawet po Warszawie dowcip, że pewne nazwiska nazwiska należy inaczej czytać, niż się pisze. Nauczyliśmy się nowego, nieznanego dotąd języka. Może dlatego przypominają mi się w tej chwili słowa Mierosławskiego (w „*Debat entre la revol. et contrerev.*“): „Uważajcie demokraci naprzód, ażeby żadna fałda krawata pana hrabiego nie była zepsuta, a potem róbcie sobie rewolucje, jakie wam się podoba... Demagog jest uczniem, który nie skończył kursu demokracji“. Nasi demokraci są uczniami tej szkoły z oślej ławki.

ALEKSANDER ŚWIĘTOCHOWSKI

GŁOSY

OBŁAWA

POWIASTKA z niedawnej przeszłości. Zabójstwo hr. Andrzeja Potockiego w r. 1908 miało ten sam charakter, co teraz — St. Sobińskiego. Zabójca Potockiego Siczyński nie mógł uciec, ale władze austryjackie aresztowanemu zbiec pozwoliły. Andrzej Potocki uchodził za człowieka, opanowanego ideą narodową, sympatyzującego z polityką polską nacjonalistyczną. Mianowano na jego miejsce Michała Bobrzyńskiego z wyraźnemi instrukcjami. Stańczycy, którzy już byli zbankrutowali w Polsce, odżyli. W kwietniu 1911 roku Bobrzyński w obliczu wyborów do parlamentu wiedeńskiego utworzył blok wyborczy, złożony z konserwatystów, demokratów liberalnych i ludowców. Po cichu blok ten zawarł sojusz z socjalistami i żydami. Wybory odbyły się przy pomocy niesłychanego dotąd terroru, na wzór węgierskich, pod batutą starostów. Prym w bloku wiedli: Stapiński, Biliński i Leo. Kampanja miała na celu usunięcie z widowni parlamentarnej: demokracji narodowej i stron. Stojałowskiego, a prowadzona była pierwszy raz jawnie pod hasłem interesów monarchji austryjackiej. Blok posługiwał się prasą wiedeńską, która pełna była denuncjacyj na „wszechpolaków“ jako wrogów monarchji i dynastji a przyjaciół Rosji.

Zaniosło się bowiem na wojnę Austrji z Rosją. Wypadki na Bałkanach galopowały: związek państw bałkańskich, porażka Turcji, zwycięstwo Serbji nad Bułgarją. Blok po zwycięstwie wyborczem zajął się organizowaniem społeczeństwa militarnie i noralnie w widokach wojny. W r. 1912 już w całej pełni grzmiało hasło powstańcze „niepodległościowe“, z którego rodem wszystkie późniejsze legjony i orjentacje, które przetrwały po dzień dzisiejszy.

Zbliżająca się wojna budziła jedną troskę w trzech państwach zaborczych, że sprawa Polski automatycznie będzie wysunięta i że wobec odrodzenia wszechpolskiej myśli politycznej—nie można będzie zaborów w dotychczasowej postaci utrzymać, że więc należy czemprędzej okroić ziemie polskie, aby ta Polska ewentualnie była jaknajsłabsza i najmniejsza. Zaczęło się tedy na komendę odrywanie Chełmszczyzny, fabrykowanie Ukrainy, wzmożone germanizowanie w zaborze pruskim. Ukraina interesowała nie tylko Austrję, leżała ona w planach niemieckich, jak to udowodniły dokumenty Ostmarken—Vereinu ogłoszone w „Słowie Polskiem“ w r. 1913—14. Dowiedzieliśmy się z tych dokumentów niezbicie, że Niemcy pod kierunkiem konsula we Lwowie i swoich agentów organizowały ruchy ukraińskie, zasilając je pieniężnie, a nawet sięgały na Białoruś, aby tam formować zarodki przyszłej „Hromady“ i „hurtek“. Znane są dzieje tych działań w Galicji podczas wojny. Zorganizowane w Galicji wschodniej Sicze robiły komedję, jakoby za kordonem czekała na nie armja ukraińska, a specjalna dla tego prasa namiestnikowska utwierdzała w tem przekonaniu rząd wiedeński. Legjony polskie, które szły z Krakowa, wprowadzone w błąd hasłem „Za naszą i waszą wolność“, były obliczonym na społeczeństwo polskie manewrem psychologicznym, dawką narkozy na ciężką operację nowego rozbioru. Dawka była mocna, skoro działa dotąd — w zmienionych warunkach — budząc odruchy federalistyczne.

„Słowo Polskie“ już w r. 1911 ostrzegało opinję przed „jakąś podejrzaną racją stanu“: coraz dobitniej wysuwało program własnej, polskiej racji stanu. Prasa bloku zrozumiała, że nie da się zjednać opinji polskiej zaklęciem na interesy monarchji. Wysunięto tedy „platformę pozytywnej pracy“. Organ kierowniczy bloku „Czas“ dowodził, że bez bloku zapanowałaby anarchja. Kraj musi się bronić od przewagi Demokracji Narodowej, terror bloku konieczny jest dla „sanacji moralnej“ życia publicznego, Demokracja Narodowa bowiem popsuła stosunki z ukraińcami i z żydami. Konserwatyści, którzy niedawno rozwijali teorję „brudnych dróg“ w polityce, teraz terroryzowani przez Stapińskiego, osławionego handlarza żywym towarem ludu, głosili krucjatę na nacjonalizm polski w imię moralności. Czerpali zaś to natchnienie — jak pisali żydzi w Warszawie w maju 1926 — „ze źródeł moralności międzyludzkiej i międzynarodowej“. W „Czasie“ nie było już nikogo, kroby się ujął wobec masonerji za duchowieństwem kotolickiem, które zupełnie odsunięto od życia publicznego. Też w imię moralności.

Dzisiaj z pewnego oddalenia, które znakomicie się rozjaśniło po upadku Austrji, widzimy, że rola Austrji w tem wszystkiem była faktycznie wtórna. Z Austrją upadli w Polsce ci, co naprawdę w nią wierzyli. Usunęli się. Teraz niema już żadnej dwuznaczności, komu potrzebne są pomosty *nach Osten*, komu zależy na wypędzaniu z Polski ducha nacjonalizmu, komu potrzebne bloki i obławy.

NIEPOROZUMIENIE

OBECNA „sanacja moralna“, jak ją pojmuje radydykalny obóz majowy, jest córką i wychowanicą spiskowców. Ludzie tego rodzaju, którzy zwłaszcza długo żyli i działali w kryjówkach i kanałach podziemnych, którzy walczyli z wrogiem potężnym i nieprzejednanym, jeśli nawet są rozumni i uczciwi, nie mogą być nigdy jako zwycięzcy dobrymi gospodarzami kraju. Wnoszą bowiem do jawnego i prawnego układu zasady i metody postępowania, do których przywykli, a które są mu wprost przeciwne. W działaniu spiskowem cel uświąca środki, każdy towarzysz jest dobry, chociażby najbardziej moralnie pokalany, jeśli tylko posiada sprawność zręcznego agitatora i nieustraszanego bojowca, każdy przeciwnik jest

wrogiem z którym należy rozprawić się najszybciej i najokrutniej. Tu niema skrupułów w wyborze środków i ludzi, tu niema bezstronnych rozważań, długich dociekań, sprawiedliwych wyroków i wspaniałomyślnych przebaczeń; tu niema wogóle żadnej moralności, albo raczej moralnem jest tylko to, co osiąga zamierzony skutek. Są poglądy, które nie rozgrzeszają takiej etyki łagodzącemi okolicznościami konieczności, które uważają zamordowanie żandarma lub zrabowanie kasy publicznej za zbrodnię; ale nawet uwzględniwszy owe łagodzące okoliczności, niepodobna uznać, ażeby takie zasady i sposoby były stosowne i godziwe w postępowaniu jawnego i własnego zarządu. Wtedy bowiem gwałt jest prawem, terror—sprawiedliwością, zemsta—sądem, samowola—władzą, wtedy zwalczanym zaciekle wrogiem nie jest tyranja, ale wszelka opozycja a ostatecznie całe społeczeństwo z połączeniem zastępu wojującego i jego ciurów obozowych.

Wyobraźmy sobie, że jakimś szczególnym trafem, zapanowali nad nami buddyści, że zakazano nam jeść mięso, że zalecono żonom palić się na grobach mężów, a zabójcom szczennych suk zagrożono karą śmierci. Lub też wyobraźmy sobie, że owładnęło nami plemię murzyńskie, nakazujące cześć dla fetyszów, figurek ustruganych z drzewa albo zabraniające stąpać ludziom po pewnych miejscach, obwarowanych prawem „tabu“; czy tych naszych władców nazwalibyśmy oszustami i szkodnikami? Bynajmniej. Uznalibyśmy ich tylko za ludzi odmiennych, z naszemi poglądami niezgodnych.

Otóż coś podobnego zachodzi przy przemianie spiskowców na gospodarzy. Naszym publicystom zdaje się, iż gdy wykażą, że jakiś nowomianowany człowiek zaufania jest głupcem lub popełnił w przeszłości grzechy polityczne, samem tem odkryciem strącą ich z zajmowanych stanowisk, a nawet zamkną im drogę do innych. Złudzenie! Ujawnione w ich zdolnościach słabizny a w charakterach plamy wcale nie zmniejszają ich — że tak powiem — użytkowej wartości dla tych, którzy się nimi posługują. Monarchizm ma swą moralność, republikanizm — swoją, socjalizm — swoją, rewolucja — swoją, praworządność — swoją. Każdemu z tych obozów wcale nie chodzi o to, aby ich żołnierze i dowódcy posiadali wszystkie cnoty, tylko ażeby posiadali jedną — wierność swemu sztandarowi. Poza tą cnotą mogą być łotrami w każdym innym względzie. Żadna nagana ich nie zawstydza, żadne potępienie nie przestrasza, żadne piętnowanie się nie ima. Gdy muzułmanin jest dobrym mahometaninem, monarchista dobrym sługą despoty, socjalista dobrym marksistą, sanator moralny dobrym piłsudczykiem, to całe burze i grady zarzutów nic ich nie obchodzą i zaszkodzić im nie mogą. Jeżeli prasa, atakująca sprawców majowego przewrotu i jego faworytów chce tylko zaznajomić społeczeństwo z ich umysłową i moralną wartością — działa celowo; ale jeżeli spodziewa się tymi atakami ich pogrzebać — łudzi się.

Słynny przemysłowiec amerykański Ford powiada w swej książce, że nigdy nie pyta zgłaszającego się robotnika o jego przeszłość i przyjmie nawet tego, który przyszedł do niego wprost z kryminału, bo mu nie chodzi o to, kim on był, ale kim być może dla niego. Tak samo postępują kierownicy obecnej „sanacji moralnej“. Dla nich te wyrazy mają swoiste znaczenie. Kto usiłuje ich przekonać lub pokonać znaczeniem odmiennem — ten traci strzały w nieporozumieniu i chybia celu.

A. Ś.

NIEPOKÓJ

SZERZENIE przez prasę wiadomości nieprawdziwych, które mogą wywołać niepokój publiczny— czy to będzie wiadomość o niebezpieczeństwach, grożących państwu z zewnątrz lub wewnątrz, o niebezpieczeństwach, grożących ustrojowi kostytucyjnemu lub społecznemu, czy też o działalności władz i ich przedstawicieli, zostało obecnie surowo zakazane pod groźbą dotkliwych kar pieniężnych, ewentualnie pozbawienia wolności.

Oczywiście, nastrój niepokoju i towarzyszącej mu niepewności stosunków jest niesłychanie szkodliwy dla państwa i społeczeństwa. Normalny rozwój życia politycznego, społecznego i gospodarczego nie może się odbywać w atmosferze trwożliwej, w oczekiwaniu zmian i przewrotów. Wszelkie usiłowania, zmierzające do uzyskania kredytów zagranicznych, będą płonne, jeżeli rozpowszechniają się pogłoski o knowaniach, zamachach, przewrotaeh.

Chodzi wszakże o to, co przedewszystkiem wytwarza ów nastrój trwożliwy, co sprzyja powstawaniu siejących niepokój pogłosek? Rozporządzenie Rządu w sprawie kar prasowych wynika widocznie z założenia, że winę ponoszą głównie czasopisma. Sądzimy, że diagnoza ta jest niesłuszna. Prasa raczej jest odzwierciedleniem tego, co nurtuje w głębi społeczeństwa. Jej zachowanie się jest symptomem niezdrowia, nie jego przyczyną.

Pisma mają obecnie milczeć o pogłoskach co do planów i zamierzeń Rządu, o działalności różnych odłamów politycznych w kraju, mogących wywołać niepokój w sprawie trwałości ustroju konstytucyjnego i społecznego. Czy to milczenie przyczyni się do ustania alarmujących opinję pogłosek? Mniemamy, że przeciwnie zapanują stugębna plotka, szeptanie sobie na ucho najfantastyczniejszych opowieści, że posłuch zdobędą sobie kawiarniani informatorowie z „najlepszego źródła“. Nawet najmniej skrupulatna prasa nigdy nie puści w druku takich pogłosek, jakie sfabrykuje podejrzliwa ulica. Im bardziej będzie milczała prasa, tem bujniej krzewić się będzie nieuchwytna plotka polityczna. A z tych źródeł czerpać będą w dużej mierze korespondenci prasy zagranicznej, wyrządzając w ten sposób interesom państwa szkody bodaj dotkliwsze, niżby je wyrządziły choćby nieprawdziwe wiadomości dziennikarskie, które można skontrolować i sprostować.

W ostatniem półroczu nawet ta rozpowszechniająca nieprawdziwe i przekręcone wiadomości i pogłoski prasa polska niejednokrotnie zaskoczona była faktami. I same te fakty musiały wywołać niepokój i nastrój wyczekiwania nowych niespodzianek. Prasa, rzecz prosta, musiała ze swego stanowiska komentować wydarzenia, wysnuwać z nich logiczne i polityczne wnioski. Jeżeli nie będzie tego czyniła prasa *coram publico* z rozmaitych sprzecznych punktów widzenia, dokona tego komentowania i wnioskowania „własnym rozumem“ przeciętny człowiek z ulicy.

P.

PRZEGLĄD POLITYCZNY

SPRAWY WEWNĘTRZNE

PRZEZ dwa tygodnie ubiegłe czytelnicy gazet codziennie dowiadywali się, że wisi wciąż nierozstrzygnięte pytanie: czy Sejm będzie zwołany i kiedy będzie zwołany? Zdawało się, że brzmienie nowego tekstu konstytucji jest zupełnie jasne —

zwyczajna sesja Sejmu i Senatu, której głównem zadaniem jest uchwalenie budżetu na 1, kwietnia w czasie pięciu miesięcy, winna być zwołana przed 1 listopada. Jednakże zjawiły się nieoczekiwane wątpliwości, czy zwołanie Sejmu oznacza jego obradowanie. Okazało się, że według interpretacji rządowej Sejm może być zwołany, a nie ma prawa spełniać swych funkcyj. W rezultacie nowela konstytucyjna, która miała na celu zapewnienie uchwalenia budżetu państwowego przed rozpoczęciem roku budżetowego, a więc położenie kresu nienormalnemu stanowi rzeczy — prowizorjom budżetowym, przy pierwszej próbie wcielenia jej postanowień w życie zawiodła.

Opinja publiczna nie miała danych dla zorjentowania się, jakie są istotne przyczyny odkładania obrad sejmowych, jakie piętrzą się przeszkody, nie pozwalające na zebranie się posłów i senatorów. Być może najbliższa przyszłość zagadkę tę wyjaśni. Powód urzędowy—to sprawa ceremonjału przy otwarciu sesji, którego obmyślenie i przygotowanie wymagało półmiesięcznego okresu czasu. Z kwestji stania lub siedzenia posłów przy odczytywaniu dekretu o zwołaniu Sejmu uczyniono zagadnienie, zaprzątające wszystkie czynniki kierownicze w państwie. Mimowoli przypomniano sobie piłę z powodu wątpliwości konstytucyjnych z przed trzech lat, która zahamowała normalny bieg spraw państwowych.

Po takiej uwerturze rodzi się pytanie, jakie będzie współdziałanie Sejmu z Rządem. Czy wogóle jakiś *modus vivendi* da się ustalić, czy też psychologicznie współrzędna działalność tych dwóch organów naczelnych w państwie okaże się niemożliwą. W chwili obecnej sytuacja tak się układa, że Rząd z rozmaitych względów obejść się nie może bez Sejmu, a z nim współżyć nie umie.

Oczywiście, o ile Sejm będzie obradował w sali posiedzeń rozlegać się będzie krytyka polityki Rządu i jego poszczególnych poczynań. Jest to fakt, nieodłączny od istnienia przedstawicielstwa parlamentarnego, a wobec jawności posiedzeń ciał ustawodawczych krytyka ta za pośrednictwem prasy dojdzie do publicznej wiadomości.

Tymczasem Rząd, w którym zasiadają przedstawiciele P.P.S., zwolenniczki wolności prasy *á outrance* ogłosił rozporządzenie, uniemożliwiające w praktyce, wskutek kauczukowych określeń, niezależne oświetlanie życia publicznego. Rozporządzenie ma być wykonaniem przepisu Konsytucji, który rozpoczyna się od zdania: „Poręcza się wolność prasy". Za rozpowszechnianie nieprawdziwych lub prekręconych, a mających wyrządzić szkodę interesom Państwa no albo wywołać niepokój publiczny wiadomości o niebezpieczeństwie, grożącem Państwu w jego stosunkach zewnętrznych lub wewnętrznych, a w szczególności o niebezpieczeństwie, grożącem jego ustrojowi konstytucyjnemu lub społecznemu, choćby wiadomość podawa jako pogłoskę, za takież wiadomości o działalności władz państwowych lub o działalności ich przedstawicieli, grozi bardzo wysoka grzywna pieniężna z zamianą na areszt autorowi, redaktorowi odpowiedzialnemu, kierownikowi pisma, wydawcy, nakładcy, właścicielowi drukarni, zarządzającemu drukarnią.

O tem, czy wiadomość lub pogłoska jest przekręcona, czy wywołuje niepokój publiczny, czy szkodzi interesowi Państwa, decydować będą władze administracyjne albo na podstawie swych subjektywnych poglądów, albo według wskazówek i poleceń Rządu. Wprawdzie od orzeczenia karnego władzy administracyjnej można odwołać się do sądu, ale wbrew powszechnie ugruntowanej zasadzie, iż kara nie może być wykonana, jeżeli zgłoszono apelację do wyższej instancji, rozporządzenie nakazuje ściąganie grzywny, a w razie jej nieuiszczenia może władza zawiesić pismo, ewentualnie wstrzymać działalność drukarni.

W tych warunkach uchylenie w nieokreślonej przyszłości orzeczenia władzy administracyjnej przez sąd nie może dać zadosyćuczynienia poszkodowanemu, tem bardziej, że ustawodawstwo nasze nie przewiduje odszkodowania za niesłuszną konfiskatę ani wogóle za nieprawną działalność władz. Co więcej, rozporządzenie nie liczy się z niezależnością sądów, bowiem wniosek władzy administracyjnej o zawieszenia czasopisma, które skazane zostało trzykrotnie za przestępstwo, przewidziane w rozporządzeniu, sąd obowiązany jest wykonać.

Dla starszych publicystów, pamiętających czasy przedwojenne, nawet brzmienie tych przepisów prasowych nie jest bynajmniej obce, znany jest wzór wydanego rozporządzenia. Inaczej sprawę przestępstw prasowych traktował Dekret Naczelnika Państwa, wydany w r. 1919, a więc przed ustaleniem Konstytucji, który stawiał zasadę: „Wszelka obraza przepisów prasowych, jak również wszelkie przestępstwo, za pomocą druku spełnione, należy do właściwości sądów".

Nasze ustawodawstwo prasowe w rzeczywistości wymaga rewizji. Pod względem stosunku do czci ludzkiej, do objektywnej prawdy w ostatnich latach prasa polska zeszła na poziom, nie spotykany w cywilizowanych państwach zachodnich. Aczkolwiek odkąd duża jej część zrzekła się roli kierowniczej w opinji publicznej a staje się odgłosem nastrojów ulicy, podniesienie jej poziomu etycznego zależy przedewszystkiem od stanu moralności w masach; jednakże z kolei jej zachowanie się oddziaływa na moralność społeczeństwa. Dlatego jest rzeczą konieczną nie tylko przyśpieszenie wymiaru sprawiedliwości przez sądy, gdy chodzi o obrazę czci, o oszczerstwa prasowe, lecz również stosowanie właściwych kar. Kary pieniężne za doznaną krzywdę moralną, ustanowione w Anglji, byłyby niewątpliwie skutecznym hamulcem na rozwydrzenie pewnego gatunku dzienników. Ale na tę szkodę, wyrządzoną interesom publicznym, czynniki miarodajne pozostają dotychczas obojętne, uznając tylko potrzebę doraźnych represyj politycznych.

B. W.

SPRAWY ZAGRANICZNE

CZWARTY w ciągu krótkiego czasu zamach na życie Mussoliniego—to fakt, który musiał wywrzeć wielkie wrażenie we Włoszech i w całym świecie. Tym razem zamach nastąpił w Bolonji, gdzie Mussolini przybył na otwarcie kongresu postępu i nauk. Dyktator Włoch raz jeszcze uniknął szczęśliwie śmierci, zaś sprawca zamachu natychmiast został przez tłum zlinczowany. W tydzień później parlament włoski uchwalił prawo, ustanawiające karę śmierci za zamach na szefa rządu.

Uporczywość, z jaką wrogowie Mussoliniego raz po raz godzą na jego życie, jest niezmiernie znamienna. Ta chęć powstrzymania zwycięskiego pochodu faszyzmu sposobem mechanicznym, przy pomocy bomby czy strzału, jest w gruncie rzeczy jakby przyznaniem się do braku wiary w możność zwycięstwa nad faszyzmem w walce o ideę, pozbawienia go „rządu dusz", który jest źródłem jego siły najistotniejszem i dzięki któremu nie jest on jakimś przemijającym epizodem dyktatury osobistej, ale wielkim dziejowym przełomem. Oczywiście, kula mordercy może zabić wodza, dobrze zorganizowany zamach może nawet na

pewien czas władzę nad państwem oddać w ręce konspiracji antynarodowej, ale czyż można wątpić o wyniku ostatecznym walki, gdy tę tylko siłę przeciwstawi się określonemi programowi, jasnej, świadomej, potężnej idei narodowej?

Strajk węglowy w Angli trwa w dalszym ciągu, mimo pojawiających się od czasu do czasu informacyj o blizkiem jego zakończeniu. Pozatem ostatnie wybory do rad miejskich dały w wyniku znaczny sukces socjalistycznej Partji Pracy, która zdobyła 147 nowych mandatów, głównie kosztem konserwatystów i liberałów. To powodzenie socjalistów, którego zresztą zgóry można było oczekiwać, jest dla obecnych stosunków angielskich faktem niezmiernie charakterystycznym. Nie zapowiada ono w każdym razie ani zbytniej stałości stosunków politycznych w W. Brytanji, ani też pozbawionego wszelkich wstrząśnień, spokojnego rozwoju.

Od dłuższego już czasu nader interesujące wiadomości dochodzą z Meksyku. Przez szereg miesięcy prowadzona jest tam zacięta, nie pozbawiona epizodów krwawych walka religijna, walka rządu „wolnomyślnego" z Kościołem katolickim. Raz po raz dochodzą wiadomości takie, jak ostatnio o aresztowaniu wszystkich księży w stanie Durango lub o ośmiu trupach podczas napadu na procesję. „Wolnomyślny" prezydent Calles i jeszcze „wolnomyśniejszy" od niego minister oświaty Mozes Saenz (tak się zdarzyło, że z pochodzenia izraelita) z uporem i konsekwencją prowadzą swą politykę prześladowczą. Jakże sprawdza się słuszna obserwacja Chertestona w „Niewinności księdza Browna", że fanatyzm bezwyzaniowca bywa niekiedy bardziej zacięty, bardziej bezwzględny, niż wszelki fanatyzm religijny!

Ale z doświadczeń meksykańskich ważniejszy jest jeszcze fakt drugi, nad którym warto się zastanowić, fakt, że Kościół katolicki dziś, jak przed lat tysiącem ośmiuset, potrafi mieć w szeregach swych zastępy męczenników, mężnie znoszących najcięższe prześladowanie za Wiarę. Czyż może być lepszy dowód niesłabnącej potęgi moralnej, wiecznej żywotności Kościoła?

J. R.

NAUKA I LITERATURA

PROF. AURELIO PALMIERI

(Wspomnienie pozgonne)

DOCHODZI nas z Rzymu smutna wieść o zgonie profesora Aurelego Palmieri, wybitnego uczonego i publicysty, który przez szereg lat po wielkiej wojnie bez wytchnienia pracował nad wznowieniem i ustaleniem współdziałania kulturalnego Włoch z Polską wskrzeszoną.

Zmarły był niepospolitym znawcą naszych dziejów, naszych wysiłków i zasług w dziedzinie ducha, wreszcie naszych stosunków politycznych ostatniej doby — i na to wszystko, przez szereg lat, codziennie niemal, zwracał uwagę Włochów, zachęcał ich do poznania naszej przeszłości i teraźniejszości, ułatwiał im to poznanie.

Sam jeden uginający się, dodać trzeba, pod brzmieniem pracy dla chleba powszedniego—zrobił w tej mierze tak wiele, że może się to równać wynikom działalności instytucji, specjalnie oddanej naszym sprawom, gdyby podobna instytucja istniała.

Przez szereg ostatnich lat odwiedzałem zmarłego, w jego skromnej pracowni w *Istitito per L'Europa Orientale*, którego był od chwili założenia jednym z najczynniejszych kierowników,—poznałem warunki w jakich pracował, niedostateczność środków, jakiemi rozporządzał, z tym większym więc podziwem stoję wobec tego, co dokonał. Podziwiać w istocie trzeba, nietylko zdumiewającą erudycję jego w rzeczach polskich, lecz i nieustannie żywe zainteresowanie się niemi, wprost zapał w stosunku do nich.

Mogę śmiało powiedzieć, bez umniejszenia zasług tych wszystkich, którzy we Włoszech obok niego później sprawami Polski się zajęli, że to prof. Palmieri pierwszy skierował ostatnie pokolenie Włochów do tych źródeł naszego życia duchowego, do których nikt tam już zgórą od pół wieku nie zaglądał, nie domyślał się, że spoczywają tam wartości piewszorzędnego cywilizacyjnego znaczenia. Dość tu wspomnieć, że on pierwszy, po wielu a wielu latach przerwy, zaczął przekładać na język włoski naszych wielkich romantyków (Mickiewicza, Słowackiego) i naszych myślicieli („Ojcze Nasz" A. Cieszkowskiego) a to w tym czasie, gdy czytelnikowi włoskiemu dawano jeszcze wciąż niezliczone przekłady powieści Maksyma Gorkiego, Kuprina i t. p.

Przekłady swoje poprzedzał tłumacz wytrawnemi studjami, w których charakteryzował twórczość autorów przekładanych, na tle życia duchowego Polski.

Ktoby chciał sobie zdać sprawę z tej masy rzeczy i spraw polskich, jakiemi prof. Palmieri był zajęty, niech zajrzy do roczników wydawnictwa *L'Europa Orientale*. Czego nie poruszał tam, o czem nie pisał, ten niestrudzony badacz życia naszego! Są tu jego pióra liczne recenzje z książek i wydawnictw polskich (historycznych, literackich, politycznych, są rozprawy (o Pomorzu, Gdańsku i t. p.), poświęcone żywotnym interesom naszego narodu i naszej państwowości; są niezliczone notatki bibliograficzne, etc. A wszystko to pisane nietylko ściśle, rzeczowo, lecz i z uczuciem życzliwem.

Jak wielostronnemi były zainteresowania zmarłego, ile materjału polskiego przerabiała wciąż jego myśl, dość tu przytoczyć, że — dotknięty już chorobą — w paru ostatnich miesiącach swego życia, pisze ostatnie swoje artykuły w miesięczniku *Politica* o książce Dmowskiego („Polityka polska i Odbudowanie Państwa"), w miesięczniku *La vita Italiana* z powodu wypadków majowych, w *L'Europa Orientale* o „Dziejach Polski średniowiecznej", a w październikowym zeszycie przeglądu *I libri del Giorno*, daje doskonały artykuł o Konarskim (*Praeceptor Poloniae*), z powodu świeżej książki prof. Konopczyńskiego o nim.

Już nie wspominam o artykułach zmarłego w naszych sprawach, umieszczonych w licznych pismach codziennych, zarówno jak i w wydawanym przez Ministerjum Spraw Zagranicznych „Biuletynie", gdzie referował między innemi sprawy polskie.

Prof. A. Palmieri był nietylko wybornym znawcą naszego dorobku kulturalnego i wielce życzliwym informatorem o stosunkach polskich; wierzył on nadto w posłannictwo Polski na Wschodzie Europy. Tego to Wschodu był on również niestrudzonym badaczem i niezwykłym, na Zachodzie Europy, znawcą.

Przygotowany, jak mało kto, do badania bliższego i dalszego Wschodu, znając bowiem kilkanaście jego języków, mógł czerpać ze źródeł mało dostępnych ogółowi pracowników w tej dziedzinie, — orjentował się w tym świecie doskonale i nie ulegał zdawkowym złudzeniom, rozpowszechnianym przez przygodnych jego badaczy.

Jak trafnie oceniał, jak samodzielnie oświetlał choćby powojenne stosunki polityczne społeczeństw Wschodu europejskiego i azjatyckiego, mogą o tem zaświadczyć dwie kapitalne prace zmarłego, mianowicie jego, niestety nieukończona, „Polityka azjatycka bolszewików" („*La Politica Asiatica dei Bolscevichi*" *I. Cina.*

Giappone, India, Persia), wydana przed trzema laty, i jedyna w swoim rodzaju, wydana w 1926 r. „Geografia polityczna Rosji Sowieckiej" (*La Geografia politica della Russia Sovietista*". *Roma Pubblicationi dell'Istituto per l'Europa Orientale*).

Zajęty ostatnio sprawami Gdańska, projektował prof. Palmieri oddawna wycieczkę do Polski, do której nietylko ze względu na zamierzoną pracę przywiązywał wielką wagę, ciesząc się zgóry myślą poznania ludzi i kraju, którego rozwój pilnie obserwował zdaleka.

Stało się inaczej, niż zamierzał — przepracowany organizm uległ po kilku miesiącach nurtującej go choroby. Strata to wielka dla nas; opłakujemy ją szczerze: ubył nam przyjaciel wypróbowany, rozumiejący życie nasze, niezrażający się jego błędami, wierzący w nieprzemijające jego wartości.

Cześć jego pamięci!

WŁ. JABŁONOWSKI

MIŁE I CIEKAWE WSPOMNIENIA

A. Mickiewicz jest dla nas nie tylko genjalnym poetą, ale istotą nadzwyczajnie drogą i ukochaną. Czujemy dla niego uwielbienie, cześć i miłość — uczucia, których nie zbudził żaden inny pisarz w równej mierze. Bo też to był nie tylko wielki umysł, ale wielki charakter. Gdy go postawimy obok olbrzymów literatury swoich i obcych, którzy rzucali olśniewające blaski na współczesność i potomność, ale wraz z temi światłami cienie samolubstwa, zawiści, troski o swoją kieszeń i karjerę, a nieraz plam moralnych, odbija się od nich jak słup ognisty od ciemnych wież z promieniejącemi kopułami. Nie w oświetleniu synowskiem, ale w prawdzie ukazuje go takim świeżo wydany Pamiętnik Wł. Mickiewicza (t. I. u Gebethnera i Wolffa). Wierzymy autorowi, bo wiemy skądinąd, że jego wielki ojciec nie dbał o całą wygodę i materjalną rozkosz życia, że bez skargi pasował się ciągle z niedostatkiem, zbolały niedolą ojczyzny, zasłuchany w jej tłumione jęki, zapatrzony w gwiazdę nadziei jej zmartwychwstania. W tej ciągłej ekstazie przestaje tworzyć i lekceważy swoje stworzone arcydzieło, odrywa się od ziemi i wzlatuje na skrzydłach mistycyzmu do nieba, ażeby bezpośrednią prośbą nakłonić Boga do wymiaru sprawiedliwości; zapala dusze otaczających go czcicieli ogniem widzeń i marzeń, tworzy legjon zbrojny dla rozkucia kajdan i wyzwolenia Polski, wreszcie spala się w roznieconych przez siebie płomieniach patrjotyzmu. Jakże wystudzeni, zgaszeni, zimni wyglądają przy nim nawet ci, w których on widział idealne żary! Mimo to warto im się przyjrzeć. A. Mickiewicza otaczało grono rodaków, głównie litwinów, którzy odnosili się do niego z czcią i uniżonością i głośnych współcześnie lub później cudzoziemców. O pierwszych, nawet znakomitych (Chopin, Norwid, Goszczyński i in.) mówi pamiętnikarz mało, za to o drugich dużo. Długim szeregiem przesuwają się przed nami: Michelet, Quinet, Saint-Beuve, Chateaubriand, Lamenais, Lamartine, patrjoci-emigranci włoscy, rumuńscy it.d. W. Mickiewicz znał ich nie tylko z daleka w sławie, ale z blizka w prawdzie, która odsłaniała ich wady i śmieszności. Najgorzej w jego sylwetkach wygląda Lamartine, obłudny obrońca a w gruncie nieprzyjaciel Polaków. Bardzo ciekawa i niedość znana jest prawdziwa fizjognomja posła francuskiego w Berlinie, Circourta, zięcia rosjanki Clustinowej, z którą A. Mickiewicz pozostawał w serdecznych stosunkach. Błyskotliwy blagier, ograniczony pyszałek i obłudnik, tak kłamał swoją życzliwość dla Polski, jak kłamał swój talent pisarski i dyplomatyczny. Wł. Mickiewicz posiadał w swej naturze żyłkę turustyczną, która popychała go do ciągłej podróży. Ponieważ zaś wszędzie spotykał przyjaciół i czcicieli ojca, którzy go przyjmowali chętnie i serdecznie, miał sposobność poznać wielu wybitnych ludzi. Niema w jego charakterystykach entuzjazmu, ale niema również złośliwości. Wszystkich maluje bez żadnej przesady, z łagodnym realizmem. W sylwetce Towiańskiego uwydatnił jeden rys znamienny i dotąd słabo odznaczony. Prorok wydał akurat tego, czego żądali później t. zw. „ugodowcy", ażeby Polacy „oczyścili się z grzechów" względem cara rosyjskiego i tym sposobem zasłużyli sobie na zbawienie.

Wielka masa szczegółów nie daje się zmieścić w krótkiem sprawozdaniu. Czytelnik może je poznać tylko z samej książki, która go zaciekawi i pouczy wiele.

A. Ś.

ZE ŚWIATA NAUKOWEGO

Prof. Ed. Taylor, autor cennej podstawowej pracy o „Inflacji Polskiej", zaniepokojony sytuacją finasową państwa, wydał obecnie książkę p. t. „Druga inflacja Polska". Praca ta, poświęcona stosunkom walutowym, w sposób naukowy, przystępny i jasny, wskazuje na grożące państwu niebezpieczeństwo gospodarcze, a w konsekwencji i polityczne i podaje środki zaradcze. Zawiera ona pięć studjów, ściśle ze sobą związanych: Położenie z końcem 1925 r. — Pieniądz a kapitał. — Na przełomie rządu koalicyjnego. — Refleksje pozamachowe. — Typologja drugiej inflacji polskiej. Prof. Taylor stwierdza, że wbrew popularnym poglądom, inspirowanym głównie przez sfery zainteresowane, przyczyną kryzysu jest inflacja, nadmierny obieg pienieżny, wywołany nie potrzebami gospodarczemi, lecz przedewszystkiem drukiem pieniędzy zdawkowych na pokrycie deficytu budżetowego. Chorujemy nie na brak pieniędzy, lecz na brak kapitału, zniszczonego w okresie wojny i pierwszej inflacji, a temu brakowi oczywiście nie zaradzi emisja banknotów. Wytykając błędy polityki Wł. Grabskiego i niezdecydowanie rządu koalicyjnego, w którym lewica reprezentowała zwolenników inflacji, co leży nie w interesie robotników lecz pewnych grup przemysłowo-handlowych, autor zaleca przedewszystkiem potanienie kosztów produkcji, zwłaszcza kosztów kapitału i uporządkowanie jego rynku, wycofanie z obiegu połowy biletów zdawkowych, ograniczenie budżetu. Jesteśmy bowiem już w okresie bardzo niebezpiecznym — hiperinflacji od listopada 1925 r., po którym przyjść może ostatnie stadjum katastrofy inflacyjnej, którą przeżywaliśmy w r. 1923. A przebieg inflacji złotowej w zestawieniu z inflacją markową cechuje niesłychanie szybki proces rozwojowy, tak że od katastrofy walutowej dzielić nas może okres tylko kilku miesięcy.

Wywody prof. Taylora powinny być rozważone przez wszystkich interesujących się sprawami gospodarczemi.

*

Nader cenną choć zwięzłą pracę historyczną wydał ostatnio dr. Bohdan Suchodolski p. t. „Stanisław Staszic na tle epoki". Rzecz godna jest uwagi nietylko ze względu na wyraziście zarysowaną sylwetkę psychologiczną Staszica, ale przedewszystkiem ze względu na uwagi ogólne, dotyczące roli oświecenia w odrodzeniu umysłowem i moralnem Polski w XVIII stuleciu. Autor wypowiada pogląd, że odrodzenie to było zjawiskiem rodzimem, reakcją ducha narodowego wobec klęsk i hańby czasów saskich, zaś wpływ zagranicy, prądy t. zw. „epoki oświecenia", odegrały najwyżej rolę pomocniczą, drugorzędną.

Całość pisana barwnie, interesująco, z widoczną znajomością przedmiotu.

U SŁOWIAN

W związku z ostatniemi wypadkami w Czechosłowacji, aferą gen. Gajdy itp., wzmógł się tam i gwałtownie ożywił ruch faszystowski. O jego istocie, celach i zadaniach informuje wydana ostatnio w Pradze broszura D-ra Zástery „O czeskosłowackim faszyźmie". Według więc tej broszury hasłem i dewizą czeskosł. faszystów jest: „dobro rzeczypospolitej jest najwyższem prawem". Ruch faszystowski w Czechosłowacji nie jest niewolniczą kopją faszyzmu włoskiego. Jest ruchem narodowym czeskosłowackim, opierającym się na duszy narodu i stosującym swe metody do jego potrzeb. Program ruchu jest jasny i niekompromisowy. Faszyści żądają: aby tylko język czesko-słowacki był językiem państw.; aby dobro narodu nie mogło być narażane na straty przez nieodpowiednie prawa; o ile takie istnieją, powinne być zrewidowane; aby jedynie nieskazitelne i narodowemi kategorjami myślące jednostki zajmowały stanowiska rządowe — itp. Przeciwko obecnemu rządowi zwraca się faszyzm czeskosł. głównie z powodu jego ustępliwości wobec mniejszości niemieckiej w Czechosłowacji.

*

Na polu badań nad mową Serbów łużyckich ukazała się ostatnio nowa praca. Dolnołużycki proboszcz, znany literat G. Swjela wydał ostatnio porównawczą gramatykę górno- i dolnołużyckiego języka (G. Schwela: „*Vergleicheude Grammatik der ober und niedersorbischen Sprache*", Bautzen 1926). Niewielka, 63-stronicowa książeczka o charakterze praktycznego podręcznika, w dwu kolumnach podaje zarys głosowni, morfologji i fleksji obu języków łuż., ze szczególnem uwzględnieniem różnic między niemi.

*

Znany lipski specjalista od spraw bałkańskich, Dr. Gustav Weigand wydał dwa lata temu książkę p. t. „*Etnographie von Makedonien*". Wysoce drażliwy problem macedoński nie prędko doczeka się rozwiązania, to też przeciwko nie wszędzie bezstronnemu dziełu Weiganda podniesiono ze strony serbskiej liczne zarzuty. Ostatnio jako dzieło polemiczne ukazała się praca prof. Jovana Erdeljanovića p. t. „*Makedonski Srbi*" (Beograd 1926). Mimo pewnych szowinistycznych zagalopowań, dzieło Erdeljanovića posiada realną wartość przez wyraźne zaznaczenie etnicznej jedności wszystkich Słowian południowych, których polityczne zjednoczenie będzie najlepszem a jedynem rozwiązaniem problemu macedońskiego.

Z LITERATURY ZAGRANICZNEJ

P. Maurice Paléologue, były ambasador francuski, wydaje u Plon'a książkę p. t. *„Un grand réaliste: Cavour"*. Autor w sposób interesujący kreśli charakterystykę i historję karjery tego wielkiego włoskiego męża stanu.

*

Księgarnia Edgar Malfère wydaje piąty tom *„Anthologie des écrivains morts à la guerre"* z przedmową Pierre Benoit'a, który podkreśla z goryczą, że intelektualiści-żołnierze wielkiej wojny dzielili się na dwie kategorje: jedni walczyli przedewszystkiem dla ojczyzny i honoru w przekonaniu, że ich krwawa ofiara nie będzie daremną; drudzy szli w bój w nadziei, że konflikt ten będzie ostatnim, i że po nim zapanuje pokój powszechny. Tymczasem—zaznacza Benoit—zarówno pierwsi jak i drudzy zostali zupełnie zawiedzeni. Dodać należy, że do wydania *„Anthologie des écrivains morts à la guerre"* przyczynił się przedewszystkiem znany autor, Thierry Sandre, laureat nagrody Goncourt'ów za powieść *„Chèvrefeuille"*, który nie szczędził trudów i zabiegów, aby zmarłym pisarzom ten piękny pomnik wystawić.

*

„L'Enfantement de la Paix" (Grasset) — to dzieje dziewięciu miesięcy, jakie dzielą zawieszenie broni od Traktatu Wersalskiego. W tych ramach p. Henry Poulaille zamyka dramatyczną historję kilku byłych żołnierzy, którzy po powrocie z frontu z prawdziwym trudem muszą sobie wywalczać stanowisko, odnaleźć dom, rodzinę, dawne życie, a wreszcie i sam pokój. P. Henry Poulaille, który wydał już poprzednio ciekawą książkę, napisaną do pewnego stopnia pod wpływem stylu C. F. Ramuza, a nosząca tytuł *„Ils étaient quatre"*, kreśli sylwetki żywe, o rysach twardych, opisy jego są raczej ponure, pozbawione poezji, a nacechowane ciężką walką o byt materjalny i moralny.

*

Premjer angielski Stanley Baldwin wydał książkę p. t. *„On England and other adresses"*. Jest to zbiór mów angielskiego męża stanu, wygłoszonych przy rozmaitych okazjach (takich przemówień znajdujemy w książce koło 40-u). W enuncjacjach tych znać typowego *„public man'a"*, którego do biurka zapędza nie inklinacja literacka, ale poczucie wagi swego stanowiska. Ozdobne okresy retoryki są mu obce i wstrętne. Niektóre ustępy dzieła Baldwina pozwalają ujrzeć czytelnikowi bardziej intymne oblicze męża stanu. Nie brak w książce Baldwina wyznań miłości dla swoich stron rodzinnych (Worcestershire) i tak charakterystycznego dla Anglika umiłowania przyrody. Baldwin orjentuje się dobrze w spuściźnie autorów klasycznych, choć nie ma erudycji klasycznej Gladstone'a czy Asquitha. Ciekawe są uwagi premjera o zawodzie polityka i porównanie tego zajęcia z innemi fachami. Baldwin nie szczędzi w swej książce słów spokojnej i zrównoważonej krytyki pod adresem powojennej Anglji.

*

Śmierć Rudolfa Euckena (15.IX.1926) nie wywołała w Niemczech głośniejszego echa; kontynujący najlepsze tradycje niemieckiego idealizmu i z tego stanowiska poddający krytyce współczesność nie znalazł w Niemczech dzisiejszych bardziej powszechnego uznania, podobnie zresztą jak i w Niemczech przedwojennych, których oczy zwrócił na siebie dopiero po otrzymaniu nagrody Nobla. W jednym z artykułów (*Hochschulleben Nachrichten)* tłumaczą ten fakt tem, iż Eucken był „najbardziej międzynarodowym filozofem niemieckim". Warto przypomnieć o silnem pokrewieństwie filozofji Euckena z myślami Cieszkowskiego (por. Przegl. Warsz. 1922 maj) o czem oczywiście autorowie pośmiertnych ocen nie wiedzą, o czem wszakże wiedział był sam Eucken.

*

W Niemczech dokonywa się obecnie nowe „przewartościowanie wartości" na podstawie rodzimości germańskiej. Uznawane jest to tylko, co się taką swojską, rodzimą genezą i charakterem wylegitymować może; wszystko inne, jako naleciałości i wpływy obce zostaje poniżone. Ofiarą oceniania na takiej podstawie, stał się ostatnio Goethe, któremu miesięcznik *„Die Sonne"* wrzesień 1926 (poświęcony ukształtowaniu życia w duchu północnym) odmówił cech właściwych rodzimej duszy germańskiej, nazywając go wyraźnym kosmopolitą i geniuszem typu kobiecego.

*

Sören Kierkegaard staje się modnym i w Niemczech. Omówieniem poglądów jego i zestawieniem ich z teologją K. Bartha zajęli się w trzystu stronicowej książce A. Gemmer i znany filozof August Messer (1925). *„Eckard"*, miesięcznik poświęcony kulturze ewangielickiej, daje specjalny przegląd książek ostatnich czasów o S. K. (1926 zesz. 5) wydań jego pism. Stanowi to ok. 30 pozycyj.

TEATR

EDYP i KLĄTWA

POD koniec października dzień po dzień w dwu teatrach warszawskich wystawiono „Klątwę" Wyspiańskiego (teatr Mały) i „Króla Edypa" Sofoklesa (teatr Narodowy). Gdyby to zdarzenie teatralne uważać za okazję do należytego wprowadzenia słuchaczy w dzieje tragedji od czasów greckich do Wyspiańskiego, należałoby napisać studjum i na nie przeznaczyć cały ten zeszyt pisma. Ale to niemożliwe, aczkolwiek zestawienie powyższych dzieł mogłoby być pouczające. Dzieli je przestrzeń czasu jakichś 2,300 lat. Zdawałoby się, inny wówczas był człowiek, inna sztuka, a jednak Sofokles był w teatrze dla nas zrozumialszy i piękniejszy, pomimo że Wyspiański bliższy jako człowiek. Dwa te przedstawienia w bezpośredniem zestawieniu zlały się w umyśle widza w jedną całość. I z tego więc względu—nie tylko że na studjum brak czasu i miejsca, ograniczyć się muszę tylko paru uwagami o obu tych dziełach razem, wychodząc przytem z założenia, że teksty ich są czytelnikom znane.

O stosunku Wyspiańskiego do tragedji greckiej wiele się pisało *). Pierwszą uwagę nastręcza zaciekłość helenistyczna Wyspiańskiego, że się pokusił o przeniesienie Edypa z Teb do Gremboszowa pod Tarnowem poprzez 23 stulecia. Edypem z Gremboszowa jest ksiądz, Jokastą — Młoda, jego kochanka, Ismeną i Antygoną — ich dzieci nieślubne, Tyrezjaszem—Pustelnik. I tu i tam—jakaś klatwa jest osią tragedji. A jednak — pomimo że człowiek był i jest ten sam, a on jest punktem wyjścia i celem sztuki — zrównanie to w duszy Wyspiańskiego nie dokonało się gładko; Wyspiański żeby nałamać ideę moralną polskiego życia do zrównania z tragedją grecką, wprowadza zamęt. Dzieło jego przez to nie jest tak klarowne, jak Sofoklesowe.

W sztuce ma swoje znaczenie materjał, z którego artysta tworzy. Materjał ten zrównałby się na warsztacie Wyspiańskiego z greckim, gdyby Sofokles po swój materjał udał się do Teb tak, jak Wyspiański do Gremboszowa i podpatrzył wypadki żywe. Ale Sofokles nie czerpał bezpośrednio z życia; ówczesna tragedja była przeróbką gotowych mitów według pieśni śpiewanych w świątyniach, pieśni bohatersko-religijnych. Materjał mitologiczny folkloru wogóle po wszystkie czasy ma właściwość toczonych łożyskami rzek kamieni—jest wykończony do okrągłości. Wszystko tam jest wyjaśnione po swojemu, ale w taki sposób, że wszystko otrzymuje sens jako wyraz woli sił nadprzyrodzonych. Mity greckie o bohaterach, jak o Edypie, odwrócone są swoim frontem do bogów, mają charakter religijny. Sofokles, żeby z nich zrobić użytek, odwracał je ku życiu, napowrót uczłowieczając, jak sztuce potrzeba, żeby symbol miał życia rumieniec. I dokonał tego. Tragedja jego o Edypie jest znowu ludzka, po ludzku dająca się wytłumaczyć, potrafił bowiem wyrwać jej nici z rąk bogów i ustawiwszy ludzi na ziemi po ludzku rzecz umotywo-

*) Ktoby chciał wyciągnąć korzyść edukacyjną z omawianych przedstawień teatralnych, niech zajrzy nie tylko do tekstów dzieł, ale i do dyskusji literacko-krytycznej: A. Grzymała-Siedlecki „Wyspiański. Cechy i elementy jego twórczości". (Kraków 1909), Stanisław Brzozowski „St. Wyspiański" 1912), St. Kołaczkowski „St. Wysp. Rzecz o tragedji i tragizmie" (Poznań 1922), Ostap Ortwin „Zagadnienie tragizmu w twórczości Wysp." (Przegl. Warsz. 1923, paźdz.) i in. Teksty: „Klątwa" wyd. IV (Krak. 1920; cena 2 zł.); „Król Edyp" w przekładzie Kaz. Morawskiego w Bibl. Narod. (Kraków, cena 80 gr.). Obszerniejszy wykład o tragedji greckiej Morawskiego w tejże Bibl. przy „Antygonie".

wać, pozostawiając bogów jedynie w poetyckiej dekoracji.

To odróżnienie samego mitu, jako materjału, od tragedji, którą poeta z niego wykroił, jest ważne. Bo wtedy okaże się, jak przesadne są teorje krytyki, upatrujące w podstawie tragedji greckiej, jako ich rys wszystko tłumaczący, Fatalizm, ową „moirę“ z góry nakreślającą los z przeznaczeń bogów. W każdym micie, nie tylko greckim, jest tak. Ale tragedja Sofoklesa nie jest prostą inscenizacją mitu, jest dziełem sztuki, mającem w sobie zaród nauki o człowieku jako źródle idej moralnych. Za wiele więc przy tragedji greckiej, a w szczególności w związku z tragedją Wyspiańskiego, narosło teorji na temat tragiczności objektywnego losu. Oczywiście w micie, gdzie każdy fakt w życiu wypływa z sankcji bogów, musi on być brany jako przeznaczony z góry. Ale artysta, dochodzący symbolu życia, choćby to przyjął jako ozdobę poetycką, musi ostatecznie postawić rzecz na nogach ludzkich tak, aby los ludzki uzasadniał się wynikliwością czynów w porządku praw moralnych. Wszystkie inne zdarzenia, choćby pełne grozy i budzące współczucie, nie będą materjałem tragicznym.

Wyspiański nie z dramatu, lecz z mitu samego przeniósł interwencję bogów greckich wraz z klątwą do dramatu swojego, a tutaj, gdzie „los“ pojmowany eschatologicznie, przedłużony jest na życie poza grobem, popadł w konflikt z elementarnemi pojęciami chrześcijańskiemi, skazując dzieci na całopalenie. Ten błąd, pochodzący ze zbyt romantycznego snucia analogji greckiej, jest wadą sztuki, bo nie trzyma miary życia z jego ideą moralną.

Wyspiański zbliżył się do tragedji greckiej charakterem swego materjału, gdy poniechawszy stosunków realnych, wkraczał z tragedją do mitów królewskich, mających kurs legendowy, podobny dziejom królów i bogów w pieśni greckiej. Twórczość Wyspiańskiego robi wrażenie, że poeta przez Grecję szedł do Polski, że przy okazji greckiej sztuki w jej świetle zapoznał się z życiem dawnem swego narodu, coraz głębiej w nie wstępując przez podziemia i groby.

W duszy jego, jak w pryzmacie, rozkładały się promienie przeszłości. Wzrok jego wewnętrzny, obdarzony przedziwnym darem analizy, wybierał w pierwiastkach swej duszy to, co było tradycyjne, a przy tej sposobności poznawał tajemnicę wszystkich innych składników, że są wytworem życia narodu, życia powtarzanego i przerabianego w każdej jednostce. Dar ten ma w sobie każdy poeta z intuicji, ale Wyspiański widział te pierwiastki niemal fizycznie, widział żywcem idee moralne na dnie duszy, a te są przecież wytworem społecznym. Pomogła mu w tem swem świetle n wielka sztuka, która ze wszystkich stron do tego odkrycia wiedzie. Gdyby był zdrów, gdyby romantyczny nałóg wizjonerstwa, tworzącego byty transcendentne, pozwolił mu skupić się w rzeczywistości duchowej, dałby nam w swych tragedjach wykład prosty Losu, że w ręku jest ludzkim, a bardziej pouczający, niż mógł w swoim czasie dać Sofokles.

Oba dzieła — greckie i polskie — w gruncie rzeczy wykazują, że zasadniczy rys tragiczności osobistej jawi się tam, gdzie nadwyrężone prawo życia społecznego, odprężając się w poszukiwaniu równowagi, miażdży jednostkę.

Oczywiście zmiażdżenie to następuje wtedy, kiedy reakcja społeczna sięga w sumienie jednostki. Los bandyty nie jest tragedją. Jednostka jest tragiczna wtedy, gdy przejrzawszy wskroś prawdę konieczności, której ulega, sama na siebie wyrok podpisuje. Ponieważ tragiczny los dosięga ludzi na terenie moralnym, uświęcanym religijnie, więc groza tragedji potęguje się w sercach, które wierzą w związek życia ziemskiego z wolą Boga i jego sądem.

Tragiczność wypływa z nieustępliwej logiki życia społecznego, która swój fundament zakłada w psychice jednostki i rządzącej idei moralnej. Najlepszy dowód mamy w tem, że tragiczność urasta w stosunku prostym do miary odpowiedzialności społecznej, którą jednostka ponosi. Im większe ma wartości społeczne w ręku, im więcej ponosi odpowiedzialności za równowagę życia, tem większy ciężar ją miażdży, gdy ta równowaga zachwiana. Dla tego w tragedjach mamy zwykle bohaterów, obciążonych wysoką odpowiedzialnością (król, ksiądz), bo te jednostki są jak zworniki w sklepieniu całej budowy. Tragiczność tych osób wynika z tragiczności życia hierarchicznie zbudowanego. I to wyczuł genjusz grecki, choć szukał sankcji poza społeczeństwem. Stąd wiara w pomazanie Boże ludzi odpowiedzialnych. Stąd klątwa tym, którzy mając w ręku losy zbiorowości, nie widzą w niej swego tragizmu. U Sofoklesa nie ruszyłaby z miejsca tragedja, gdyby nie naród, który (w postaci chórów) domagał się rozpoznania przyczyn niedoli. To samo w „Klątwie“ Wyspiańskiego. Tragiczny krok Edypa ku zatraceniu bierze początek ze spojrzenia w niedolę jego ludu. Edyp bierze na siebie ludu tragiczność. Idea moralna Edypa leży w słowach jego do ludu, gdy mu tłumaczy, że on sam jest najnędzniejszy ze wszystkich:

Bo was jedynie własne brzemię dręczy,
Gdy moja dusza za mnie, za was jęczy.

Klątwa tkwi i automatycznie działa w układzie społecznym; z tego układu bowiem pochodzi też i dusza odpowiedzialnej moralnie jednostki. Tkwi ta klątwa tak objektywnie, że Edyp ulega jej niezależnie od winy osobistej. Sam fakt nadwyrężenia przez niego równowagi moralnej staje się przyczyną tragicznej katastrofy, tem głębszej, im wyżej niósł moralnie swoją odpowiedzialność. Tragiczność grecka jest — rzec można — odwróconym w przepaść losem bohatera, który za dobrodziejstwa dla społeczności był wywyższany między bogi. Odwrócony prometeizm.

Wyspiański był na drodze pogłębienia idei tragizmu takiego przez zdobycze, jakie osiągnął w nowoczesnej analizie duszy narodowej (Wyzwolenie). Utarł drogę następcom. Życie tę tragiczność czyni coraz zrozumialszą.

Przedstawienia same w teatrach różną miały wartość. Edyp w teatrze Narodowym dał świetne wyniki artystyczne. Uszanowano w sztuce godność antyczną i czystość linij helleńskich. Nie odgrodzono widza od poety dokuczliwą inscenizacją semicką, która już wyniszczyła dramat na scenie warszawskiej. Teatr Narodowy, szczęśliwie od początku ocalony, dociągnął się do Sofoklesa i — do Węgrzyna, który zaiste godzien jest pięknej oprawy. Od Don-Juana postąpił w rozwoju jeszcze krok dalej. To co uczynił z mowy polskiej przy pomocy swego artyzmu i przez udoskonalenie środków wokalnych, któremi go natura hojnie obdarzyła, to było arcydzieło i godne przypomnienie starych ślubów sztuki polskiej z antyczną helleńską. Wszystkie role stały na poziomie odpowiednim, ujawniając godną uznania dbałość o piękno muzyczne głoszonego słowa.

„Klątwa“ na małej scence, przez autora półsłówkami markowana, a tutaj w dodatku stłoczona w terenie, a co najgorsza, stylizowana na niesamowitość, robiła wrażenie ciężkiego snu, nie jawy; nie tyle pokazanie tragedji miała na celu, ile wywołanie udręki. Probierzem wartości tego dzieła, jako widzenia poetyckiego, byłoby wystawienie go realistyczną: ma się dziać w Gremboszowie, niech się dzieje. Najgorsze są te pośrednictwa reżyserskie, upoetyczniające poetów. Gra artystów nie dociągała sceny do żadnego pojmowania sztuki, takiego czy innego.

Z. W.

SZTUKI PLASTYCZNE

WYSTAWA JUBILEUSZOWA JUL. FAŁATA

TRUDNO oprzeć się uczuciu podziwu, oglądając wielką, jubileuszową wystawę dzieł Juljana Fałata w warszawskiej „Zachęcie": jakaż to zdumiewająca biegłość, jaka werwa, jaka nieomylna pewność ręki i oka! Czy to w malarstwie olejnem, czy przedewszystkiem w świetnych, siły pełnych akwarelach, jakaż to doskonałość techniki, umiejętność posługiwania się barwą i światłocieniem.

Niewątpliwie, twórczość Fałata nie imponuje głębią ani potęgą uczucia, nie wstrząsa, nie odkrywa przed widzem nowych, nieznanych światów. Fałat zawsze pozostaje przedewszystkiem malarzem i zagadnienia czysto malarskie interesują go bardziej, niż wszystko inne. Ale malowniczość Polski, jej barwność, zewnętrzne piękno jej krajobrazu umie on wyrazić z mistrzostwem, które dziełu jego daje wartość niepowszednią i trwałą. Oślepiający blask śniegu w słońcu zimowem, góry pokryte zielenią na ciemnem, intensywnie błękitnem tle nieba — któż przed nim u nas rzeczy te malował z taką siłą bezpośredniości, z taką prawdą?

Pomijając kilka drobniejszych prac bez znaczenia, cały niemal pięćdziesięcioletni dorobek artysty ma za temat Polskę: polski krajobraz, obyczaj, nawet portrety wydają się chwilami tylko szeregiem studjów typu „polskiego ziemianina" albo „polskiego dziecka". Tatry i Karpaty, puszcze litewskie, poleskie błota, równiny, Żywiec i Nieśwież, morze w Wielkiej Wsi, Częstochowa, Kraków—oto granice tematów i zainteresowań, dostatecznie rozległe, aby zmieścić w nich dzieło całego życia, imponujące wszechstronnością, różnorodne, bogate. A choć w niektórych dziełach Fałata znać osłabienie energji twórczej, pracę wykonywaną jakby na obstalunek, to wśród ostatnich, najnowszych obrazów siedemdziesięciotrzyletniego artysty znaleźć można rzeczy, malowane z rozmachem wprost młodzieńczym, nowemi zdobyczami znaczące coraz dalsze etapy rozwoju jego twórczości.

Poza wystawą Fałata z większemi kolekcjami prac wystąpili: Wiktor Stępski, Stanisław Szygiell, który wpadł w fatalną manjerę zabarwiania wszystkich swych obrazów fioletowo, Adolf Ihnatowicz Lubiański oraz Ignacy Łopieński. Na wystawie bieżącej — nic interesującego.

K. L.

NOWE KSIĄŻKI

Wacław Filochowski. Przez kraj wód, duchów i zwierząt. Romans podróżniczy. Warsz. 1926. Bibl. Dzieł Wyb.

Wacław Borowy. Jan Kasprowicz. Kraków 1926 (odbitka z „Przeglądu Współcz." wrzesień 1926). Str. 35.

Antoni Bogusławski. Honor i Ojczyzna (poezje). Warsz. 1927. F. Hoesick.

Fr. Kuropatwiński. Ze wspomnień młodości (1875—1893). Szkic obyczajowo-wychowawczy (odbitka z pamiętnika Siedlczan). Str. 57.

Pięćdziesięciolecie Muzeum przemysłu i rolnictwa w Warszawie, 1875—1926. Warsz. 1926. Str. 63 in 4-o z ilustr.

Ruch Literacki, nr. 8. Warsz., paźdz. 1926.

Muzyka, mies. pod red. M. Glińskiego, zesz. 10. Warsz., paźdz. 1926 (poświęcony Chopinowi).

Przegląd Powszechny, Kraków, listopad 1926.

Prąd, nr. 9—10. Warsz. 1926.

J. E. Skiwski. Kilka myśli o Żeromskim i Żeromszczyznie. Odb. z „Myśli Narodowej". Warsz. 1926. Str. 28.

Jan Dürr. Zapomniane autografy Wyspiańskiego w Muzeum Nar. w Krakowie. Kraków 1926. Nakładem Tow. Miłośników książki. Str. 39.

Cherep-Spiridovich, maj.-gen., count. The secret world government or „The Hidden Hand". New York 1926. The Anti-Bolshevist Publishing Assoc. Str. 196.

NA MARGINESIE

Cała prasa, popierająca rząd obecny, jakby na komendę zaczęła w ostatnich dniach uspokajać swych czytelników, że Piłsudski—to bynajmniej nie drugi Mussolini, że „jest zasadnicza różnica", że „system Mussoliniego" i „system Piłsudskiego" to dwie rzeczy całkiem różne od siebie, nawet przeciwstawne. W „Czasie" krakowskim rozwodzi się na ten temat p. Franciszek Potocki, w „Epoce" p. Wasserzug, nawet w łódzkiej „Republice" p. Wacław Sieroszewski spieszy wyjaśnić, że w swym odczycie: „Piłsudski i Mussolini" wcale tej „zasadniczej różnicy" nie chciał pomijać.

Ależ racja, kochani panowie, święta racja! Rzadko macie sposobność wygłaszania tak słusznego poglądu. Różnica między Piłsudskim a Mussolinim jest istotnie najzupełniej zasadnicza, a społeczeństwo polskie... zdaje sobie nawet z tego dość dokładnie sprawę.

*

Co byśmy powiedzieli o lekarzu, któryby, przechwalając się skutecznością swej kuracji znakomitego pacjenta, napisał w sprawozdaniu: Znalazłem chorego w ciężkim stanie: puls miał słaby, wyczerpanie ogólne, brak apetytu, niemożność żywszego ruchu, nieprzerwana apatja. Po zastosowaniu moich środków chory ożywił się, usiadł na łóżku, próbował wstać, zapragnął jeść i powrócił do zajęć, ale niestety po pięciu miesiącach tej pomyślnej kuracji zapadł w tyfus głodowy, który mu grozi śmiercią. Coś podobnego znajduje się w broszurze „Przegląd życia gospodarczego Polski w okresie od połowy maja do września 1926 r." z przedmową p. K. Bartla. Bo oto co w niej czytamy: pomimo podniesienia poborów urzędniczych, utrzymała się równowaga budżetu z pewną nadwyżką, kurs złotego poprawił sie, zapas złota w Banku Polskim zwiększył się, stopa procentowa spadła, w dziedzinie produkcji ujawniło się ożywienie, praca taboru kolejowego wzmogła się. „Na tle pomyślnych rezultatów bilansu gospodarczego istnieje niebezpieczna tendencja zwyżkowa cen, która szczególnie ostro zaznaczyła się od ostatnich dni sierpnia". Czyli krótko mówiąc: dzięki kuracji gospodarczej drożyzna zaczęła mocniej dusić społeczeństwo. Potrzebaby wielkiego wysiłku naiwności ażeby pobić ten jej rekord. Jest to tem trudniejsze, że konik, na którym przechwałka ustanowiła ów rekord, wywóz węgla polskiego spowodowany strajkiem angielskim, został tylko czasowo wypożyczony do gospodarczego wyścigu na naszym torze. Po zakończeniu tego strajku trzeba będzie albo biegać pieszo „na przełaj", albo jeździć na krajowych szkapach.

Adres Redakcji: Marszałkowska 153, tel. 25-45. Adres Administracji: Al. Jerozolimskie Nr 17, 2-gie piętro. Tel. 11-90.

WARUNKI PRZEDPŁATY: kwartalnie z dostawą zł. 6, rocznie zł. 24, za granicą kwart. zł.9. Konto czekowe na P. K. O. 3.105.

Redaktor naczelny i wydawca: ZYGMUNT WASILEWSKI Redaktor odpowiedzialny: JAN REMBIELIŃSKI

Druk. „A. Michalski", sp. z o. o., Chmielna 27. Telefon 27-15. PRZESYŁKA POCZTOWA OPŁACONA RYCZAŁTEM